MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 9. WARSZAWA, 21 LUTEGO 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

W SPRAWIE OBRZĄDKU WSCHODNIEGO W POLSCE

W ROKU 1595 zawarto w Brześciu unję religijną na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej. W jej konsekwencji ludność prawosławna Polski Wschodniej stała się ludnością katolicką. Cerkiew unicka przyjęła wtedy charakter polski, przypominając prawosławie jedynie nielicznemi, drobnemi urządzeniami oraz słowiańską mową liturgiczną. Pomimo jednakże dość poważnych różnic obrzędowych, różniących polską unję od prawosławia, zaważyły na jej losach raczej te dość nikłe podobieństwa. Wystarczył bowiem administracyjny nacisk rosyjski na unitów, ażeby w bardzo poważnej większości przeszli napowrót na prawosławie. Że unja kryje w sobie jakąś słabość, jeśli mowa o przywiązaniu dokat olicyzmu, na to mamy dowody i dziś. Dostarcza ich szerzenie się prawosławia na terenie małopolskim. Zaczęła się ta fala prawosławia za czasów rosyjskiej okupacji w w wojnie światowej. Przechodzenie całych parafij na prawosławie trwa do dziś. Na skutek tego mamy obecnie w Małopolsce powyżej 25 nowych parafij prawosławnych, które niedawno jeszcze były unickiemi. Podkreślić przy tem należy, że proces ten ma raczej tendencje rozwojowe. Apostazje te bowiem są przedewszystkiem haraczem, jaki płaci grecko-katolicki kościół unicki za to, że stał się w bardzo poważnej mierze politycznym instrumentem radykalnego nacjonalizmu ukraińskiego. Na skutek tego, t. zw. starorusini, uważający się za Rosjan, nie mogą w obrządku grecko-katolickim wytrzymać; przechodzenie zaś na prawosławie ułatwione im jest zarówno przez podobieństwo obrządku grecko-katolickiego do prawosławia jak przedewszystkiem małe przywiązanie do katolicyzmu. Mieli tedy zupełną rację sceptycy, żyjący w czasach tworzenia unji, którzy propagowali nawracanie schyzmatyków na obrządek grecko-katolicki.

Zaznaczone powyżej doświadczenia historyczne powinny były wywrzeć swój wpływ w tej sprawie, zarówno na polskie sfery polityczne, jak też na sfery kościelne, zarówno w Polsce, jak też w Watykanie. Niestety, tak się nie stało. Zaczęto u nas organizować akcję unijną, bodaj ponad głowami wszelkich polskich czynników politycznych. Nie ulega wątpliwości, że jest to konsekwencja naszego opłakanego stanu politycznego. Ponieważ polskie ośrodki polityczne nie mają czasu myśleć o tej sprawie, przeto nas wyręczają. Oczywiście, że nieobecność polskiej polityki przy rodzącej się obecnie unji sprawia to, iż początki te przeradzają się powoli w poważne i bardzo dla nas groźne *politicum*. Dlatego może nie od rzeczy będzie zebrać wszystkie znane z tej dziedziny fakty i przyjrzeć się im przynajmniej teraz, oby tylko nie po niewczasie. Zaznaczam przytem, że w artykule niniejszym nie będę rozstrząsać działalności Towarzystwa Przyjaciół Unji w Krakowie, o którem pisałem w nr. 59, z r. 1931. Towarzystwo to reprezentuje polski punkt widzenia oraz pierwszą zorganizowaną, a krytycznie patrzącą grupę na unijne poczynania w Polsce.

Wszystko to, co się obecnie w Polsce na gruncie unijnym dzieje, związane jest ze starą i wielką ideą Rzymu, ideą nawrócenia Rosji na katolicyzm. Akcję w tym kierunku zaczął Watykan przygotowywać jeszcze przed wojną. W przygotowaniach tych odegrał, jak wiadomo, bardzo poważną rolę grecko-katolicki metropolita lwowski Szeptycki. Bywały nawet momenty, kiedy zdawało się, że rzeczwiście wschód nawróci się *„per Ruthenos"*. Nie dane było jednakże metropolicie Szeptyckiemu przeprowadzić w tym względzie wszystkich swoich zamysłów i suggestyj. Decydującemi stały się w Watykanie zapatrywania sfer rosyjskich, przeważnie emigranckich. Rzym postanowił stworzyć dla nawróco-

nych z prawosławia na katolicyzm wiernych na terenie byłej Rosji osobny obrządek, różny od obrządku grecko-katolickiego, obrzędowo minimalnie różniący się od prawosławia. Obrządek ten nazwano wschodnim albo bizantyjskim. Tak postawioną akcję unijną dla słowiańskiego wschodu oddzielono też zupełnie wyraźnie od greko-katolicyzmu pod względem organizacyjnym. Akcję tę poddano specjalnej komisji „*Pro Russia*", podczas gdy grekokatolicy zależą od kongregacji „*Pro Ecclesia Orientali*". Również akcję misyjną na terenie Polski prowadzi się pod auspicjami komisji „*Pro Russia*". Rezultaty akcji komisji „*Pro Russia*" w społeczeństwie rosyjskiem nie są zbyt wielkie. Nawróciła się pewna liczba emigrantów. Część z nich wstąpiła do rozmaitych zakonów misyjnych, przygotowując się do akcji misyjnej na przyszłość. Przyszłość ta nastąpić może po upadku bolszewików w Rosji.

O wiele większe rezultaty osiągnął bizantyński obrządek na terenie Polski. Początkowo ks. arcybiskup Ropp starał się obronić koncepcję dwuobrzędowości księży łacińskich, przy której spodziewano się uniknąć pewnych szkód politycznych, ale ostatecznie zwyciężył kierunek komisji „*Pro Russia*". Za obrządkiem bizantyńsko - wschodnim opowiedzieli się częściowo niektórzy biskupi rzymsko katoliccy w Polsce. Wierni nowego obrządku podlegają na razie władzy biskupów rzymsko-katolickich. Poważną rolę odgrywają w szerzeniu nowego obrządku Jezuici, zwłaszcza z Wilna i Krakowa. Początkowo przeszła na obrządek wschodni garść księży prawosławnych. Obecnie założono w Dubnie seminarjum duchowne obrządku wschodniego. Prowadzi je jezuita ks. Dąbrowski, uważający się za Białorusina. Językiem wykładowym zakładu jest łacina. Pozatem uczą tam języków: rosyjskiego, polskiego, ukraińskiego i białoruskiego. Alumnów przyjmuje się z całej Polski. Między innymi przyjęto w tym roku 5-ciu alumnów Rusinów z Małopolski Wschodniej. Największą jednakże zdobyczą nowego obrządku jest zamianowanie pierwszego jego biskupa w osobie ks. biskupa Czarneckiego. Ma on charakter wizytatora apostolskiego. Na uwagę zasługuje fakt, że ks. biskup Czarnecki nie jest Polakiem. Obrządek wschodni nie ma na razie żadnej swojej djecyzji. Polityczne sfery ukraińskie, bardzo się sprawą wschodniego obrządku interesujące, lansują projekt utworzenia dwu djecezyj: południowej ukraińskiej i północnej białoruskiej.

Pomimo całej najgorętszej sympatji, jaką każdy Polak-katolik posiadać musi w stosunku do idei nawrócenia prawosławnej ludności w Polsce na katolicyzm, sympatji dyktowanej zarówno względami religijnemi jak i politycznemi, trudno oprzeć, się uczuciu poważnego zaniepokojenia, a nawet trwogi na myśl o całokształcie akcji, zmierzającej obecnie do utworzenia w Polsce obrządku wschodniego. Przejawem tego zaniepokojenia są spontaniczne artykuły w prasie. Są one na razie nieśmiałe i jakby skrępowane, ale uderza w nich żal, skierowany w stronę Kościoła. Przypuszczam, że głosy te będą liczniejsze i ostrzejsze, w miarę rozszerzania się akcji unijnej obrządku wschodniego, jeśli akcja ta zachowa dotychczasowy swój charakter. Wyzyskają to oczywiście sfery wrogie Kościołowi Katolickiemu w bardzo niepożądanym kierunku. Myślę zaś, że ani w Polsce ani też poza Polską sfer takich nie brak. Możliwości rozmaitych niepożądanych konfliktów i tarć są tem większe, że omawiany obrządek nie jest objęty konkordatem.

A trzeba też szczerze i otwarcie podkreślić, że możliwości zadrażnień i konfliktów na tle obrządku wschodniego istnieją także w naturze zjawisk związanych z obrządkiem wschodnim. Już samo związanie problemu unijnego w Polsce z próbami nawrócenia Rosji nie jest posunięciem udanem i szczęśliwem. Może ono podrażnić nasze poczucie państwowości, bardzo przecież wysubtelnione. Wiadomo zaś, jak trudno jest takie momenty łagodzić. Drażnią one nieraz więcej, niż naruszenie bardzo istotnych interesów.

W danym zaś wypadku może zajść także poważne naruszenie polskich interesów. Obrządek wschodni, zorganizowany w Polsce przez komisję „*Pro Russia*", będzie instytucją o wiele więcej rosyjską, aniżeli powinien być z racji istotnych sił rosyjskich w Polsce. Wiadomo bowiem, że nastrój i kierunek instytucji zależy od nastrojów, jakie panują w jej początkach. Naskutek więc dzisiejszego, początkowego stanu obrządku wschodniego utrwali się rosyjski wpływ w Polsce. Wyobraźmy sobie, że działaczom unijnym uda się nawrócić całą ludność prawosławną w Polsce, to w konsekwencji stworzymy doskonały pretekst do mieszania się Rosji w nasze stosunki wewnętrzne. Powtórzy się wtedy historja z dyzunitami. Sytuacja będzie oczywiście groźniejsza w razie nawrócenia i Rosji na obrządek wschodni. Wtedy bowiem obrządek wschodni będzie narodowym kościołem rosyjskim. Wiemy zaś, że w naszej części świata narodowość często identyfikuje się z religją. Nie ulega też w żadnym razie wątpliwości, że szerzenie obrządku wschodniego w Polsce bardzo skomplikuje nasze stosunki z Rosją. Stosunków tych nie skomplikowałby obrządek wschodni tylko w takim wypadku, gdyby w Rosji bolszewicy zniszczyli obecnie prawosławie i wprowadzili jakąś nową religję.

Przyszłość obrządku wschodniego w Polsce komplikują także bardzo poważnie aspiracje partji galicyjskich ukraińców. Streszczają się one, jak wiadomo, do politycznego opanowania kresów wschodnich na linji zakreślonej przez ukraińsko-niemiecki traktat w Brześciu. Na północ jednak od dawnej austrjacko-rosyjskiej granicy nie dysponują ukraińcy prawie żadnym materjałem inteligenckim. Siedmioletnia kampanja tej grupy w sprawie t. zw. ukrainizacji cerkwi prawosławnej miała na celu przedewszystkiem opanowanie i użycie duchowieństwa prawosławnego do celów ukrainizacji Wołynia, Polesia, Podlasia i Chełmszczyzny. Cała ta akcja jednakże się nie udała. Politycy tedy ukraińscy postanowili zrobić z obrządku wschodniego swój instrument polityczny. Jest to nawet częściowo dogodniejsze, aniżeli upieranie się przy ukrainizacji prawosławnej cerkwi w Polsce. Zawsze przecie unita z unitą łatwiej się porozumie, aniżeli unita z prawosławnym. Różnice obrządku grecko katolickiego i wschodniego nie są tak wielkie, i nawet gdyby ich w przyszłości nie połączono, to zawsze nastąpiłoby faktyczne zbliżenie, choćby tylko Wołynia do stosunków w b. Galicji. Najważniejszym jednak walorem obrządku wschodniego ze stanowiska ukraińskiego jest jego młodość. Młodą instytucję kościelną można w bardzo łatwy sposób opanować, zwłaszcza jeśli istnieje perspektywa, że na terenie obrządku wschodniego grozi prawdopodobieństwo sporu polsko-rosyjskiego, niepotrzebnego ani nam, ani też Rosjanom.

Obecnie można już zaryzykować twierdzenie, że obrządek wschodni jest ukrainizowany. Za sym-

bol tego stanu można uważać przyjęcie owych pięciu haliczan do seminarjum tego obrządku w Dubnie. Są już jednak nie tylko symboliczne fakty. O narodowości ks. biskupa Czarneckiego naogół bardzo mało się pisze; chodzą jednakże dość poważne słuchy, że jest on Ukraińcem. Ostatnio przeszedł z prawosławia na obrządek wschodni Ukrainiec, protojerej P. Tabińskij, b. docent ukraińskiego uniwersytetu w Kamieńcu Podolskim oraz kierownik seminarjum prawosławnego w Krzemieńcu. Z jego przejścia na katolicyzm, które jest rezultatem załamania się przedewszystkiem akcji ukrainizacji cerkwi prawosławnej w Polsce, zrobili Ukraińcy sposobność do agitacji za obrządkiem wschodnim. Wyznanie wiary pr. Tabińskiego odbyło się w Warszawie w dzień Bożego Narodzenia u. r. w cerkwi grecko-katolickiej bardzo uroczyście. Przyjął je sam nuncjusz apostolski. Ukraińska prasa w Polsce gorąco propaguje obrządek bizantyńsko-wschodni. Ukrainizacja obrządku wschodniego czyni zeń problem polityczny, wobec którego ludzie odpowiedzialni za politykę narodową nie mogą być obojętni.

Trzeba zaś przy tem wszystkiem pamiętać, że pomiędzy prawosławnymi b. zaboru rosyjskiego jest przecie sporo Polaków, nawróconych dawniej przemocą z Unji na prawosławie. Polakom tym grozi w takich warunkach rusyfikacja albo ukrainizacja.

Mając wszystko, co powyżej powiedziane, na uwadze, myślę, że sprawy unji w Polsce nie rozwiąże się pozytywnie bez pewnych koniecznych reform. Przedewszystkiem spraw tych nie można traktować w łączności z nawróceniem Rosji. W związku z tem nie można absolutnie łączyć naszych unitów wspólnym obrządkiem z Rosją. Nie można też dopuścić do tego, aby nowy kościół unicki w Polsce stał się instrumentem polityki ukraińskiej partji. Jakiekolwiek wreszcie formy przybierze ewentualna unja na tle słowiańskiej liturgji, trzeba dać możność obrządkowi łacińskiemu nawracania tych wszystkich, którzy tego zechcą, na obrządek łaciński. Może to się zaś stać tylko wtedy, jeśli obrządek łaciński będzie rozporządzał odpowiedniemi kadrami misyjnemi, przynajmniej równie licznemi, jak obrządek wschodni.

KAROL STOJANOWSKI

JASIEK Z WÓLKI — NAUCZYCIELEM

PROJEKT ustawy o ustroju szkolnictwa wytycza w art. 39 w następujący sposób drogę kształcenia nauczycieli szkół powszechnych:

Art. 39 I. Kształcenie kandydatów na nauczycieli szkół powszechnych odbywa się:

a) w 3 letnich liceach pedagogocznych, b) w 2-letnich pedagogjach.

Art. 40. Program liceum pedagogicznego opiera się na programie gimnazjum, program pedagogjum na programie liceum ogólnokształcącego.

Wreszcie w postanowieniach przejściowych (art. 53, ust. 3) zapowiada projekt krótko: W istniejących w chwili wejścia w życie ustawy niniejszej seminarjach nauczycielskich wstrzymuje się przyjmowanie kandydatów nauczycielskich na pierwszy kurs.

Obecnie istniejące seminarja nauczycielskie znikną za lat pięć zupełnie. Były za czasów zaborczych na terenie b. zaboru rosyjskiego trzyletnie, austrjackiego czteroletnie, za czasów polskich (od bardzo niedawna) zmieniły się na pięcioletnie. Nie zdały jednak rzekomo egzaminu. Mają zniknąć. Przypatrzmy się problemowi bliżej, głównie jednak ze stanowiska wsi naszej.

Jakże jest obecnie?

Na podstawie rozporządzenia ministerjalnego z r. 1926 przyjmuje się na pierwszy rok seminarjum tę młodzież przedewszystkiem, która skończyła siedmioklasową szkołę powszechną. Ta młodzież podlega tylko egzaminowi wstępnemu sprawdzającemu. Jeżeli zaś chłopiec nie miał możności korzystania z pełnej szkoły siedmioklasowej, lecz miał u siebie we wsi szkołę typu niskiego (jedno lub dwuklasową), może być przyjęty na kurs wstępny w seminarjum. W sumie więc uczy się w dwu szkołach, w dwu miejscowościach muszą go rodzice umieścić i pod kierunkiem dwu zespołów nauczycielskich wychowuje się i zostaje nauczycielem. Najzdolniejsi chłopcy wiejscy są skierowani przez nauczycielstwo do seminarjum, chłopcy już starsi, około lat czternastu, którzy doskonale zdają sobie sprawę z przyszłego zawodu nauczycielskiego, a nie mają sposobności zatracić kontaktu ze wsią, z której pochodzą i w której w przyszłości mają działać. Życie wsi, jej potrzeby, jej warunki, jej błoto, jej bieda, krowy, konie, bydło, grunt, pastwisko i ogród znane im są doskonale. Na tem tle dobry nauczyciel - wychowawca przyszłych nauczycieli ma doskonałą sposobność i w wychowaniu i w kształceniu stosować te zasady, o których często mówi projekt dzisiejszej ustawy: „zagadnienia kulturalno-gospodarcze środowiska... winny być uwzględnione w materjale naukowym". Czy mówi o roli czytelnictwa, czy o przeszłości, czy na lekcjach rachunków o Kasach Pożyczkowych, czy o Kółkach Rolniczych, czy strażach pożarnych — zawsze znajdzie słuchaczy, dla których te wszystkie sprawy nie są nowością. I nie powinny nią być w przyszłości. I stosowana do terenu przyszłej ich działalności na wsi przyroda należyte znaleźć może u nich zrozumienie. A chłopiec, który wykształci się w seminarjum, chłopiec wiejski, wracając po pięciu czy sześciu latach na wieś, którą kocha, ale którą zna także, nabrawszy naturalnego doświadczenia życiowego, będzie miał naprawdę możność stania się opiekunem nietylko dzieci wiejskich i ich wychowawcą, ale opiekunem i doradcą wsi. Błogosławiona może być w skutkach jego praca. „Ale droga do dalszego kształcenia się zamknięta"—odpowie ktoś. „Chcecie z tego nauczyciela wiejskiego zrobić parjasa wśród inteligencji? Zamknąć mu drogę"? Zupełnie nie, — odpowiem — jeżeli idzie o dalsze pogłębianie pracy zawodowej. Na to istnieją rozmaitego rodzaju instytucje specjalne, kursy, które mu otwierają szersze horyzonty w zakresie pedagogicznym. Nawet bardzo szerokie. Nie dadzą mu one formalnego prawa wstępu do szkół akademickich w charakterze studenta zwyczajnego. Na podstawie świadectwa dojrzałości w seminarjum nauczycielskiem, nie może studjować ani prawa, ani medycyny, ani teologji, ani nawet humanistyki, chyba że uzupełni to świadectwo maturą

w szkole średniej ogólnokształcącej. Z tej drogi korzystają też energiczniejsze jednostki, w których objawi się chęć dalszych studjów i te korzystają z niej dość licznie a bez nadzwyczajnego trudu, ponieważ seminarja dają dzisiaj znaczne przygotowanie naukowe (oczywiście bez łaciny). Okazuje się jednak, że właśnie ten wyjątkowy cel staje się dominantą w układzie ustrojowym szkolnym, dla niego kształtuje się inaczej drogę początkowego kształcenia przyszłych nauczycieli szkół powszechnych. Jakże więc teraz ma kształcić się na nauczyciela — przeciętny Jasiek z Wólki?

Oto naprzód skończy pierwszy szczebel naukowy w swojej wsi rodzinnej. Potem pójdzie na stancję do najbliższego miasteczka czy do większej wsi, gdzie już jest szkoła „realizująca drugi szczebel nauczania". Tam będzie dwa lata. Potem oddadzą go na stancję do miasta na cztery lata do gimnazjum. W gimnazjum nauczy się nieco gramatyki łacińskiej (o wykształceniu hnmanistycznem przecież nikt na serjo nie może myśleć w gimnazjum). Przez te cztery lata ma w nim albo obudzić się zamiłowanie do zawodu nauczycielskiego, i to właśnie pod kierunkiem nauczycieli, którzy młodzież gimnazjalną przygotować mają do dalszych studjów w liceach, dających wstęp na uniwersytety, albo poprostu przy końcu tej nauki powiedzą mu nauczyciele: „Do liceum „uniwersyteckiego" nie nadajesz się. Idź, kochany, do liceum pedagogicznego". To będzie norma. Wtedy Jaś z Wólki przejdzie, mając lat siedemnaście, znowu do innego miasta, aby tam już wreszcie osiągnąć cel swój właściwy. Czy Jaś z Wólki wytrzyma to wszystko? Czy w tych warunkach znajdą się Jaśkowie z Wólki na stanowiskach nauczycieli? I to nauczycieli wiejskich, którzy nie z odrazą będą myśleli o wsi, jej błocie, odległości od kultury zawnętrznej, miejskiej?

Mamy już na szczęście (dla rozmyślań może tylko—niestety) pewien materjał doświadczeniowy.

Oto dwa lata temu Ministerstwo założyło w celach doświadczalnych koedukacyjne dwuletnie pedagogja. Przyjmuje się na nie ukończonych gimnazjastów i gimnazjastki. Mamy takie pedagogjum w Warszawie. I stwierdzić trzeba, co następuje: Przez te oba lata na czterech kursach (dwu matematycznych, dwu polonistycznych) mamy jednego, dosłownie jednego mężczyznę. Na 113 osób. Wśród tych zaś 112 panien niema ani jednej, dosłownie ani jednej ze sfer małorolnych. Są zaś córki urzędników, inżynierów, właścicieli domów, tramwajarzy, kolejarzy niższych i wyższych, ślusarzy, szoferów, kupców, policjantów, wyrobników; jedna córka rolnika: byłego właściciela ziemskiego. Czy to jest materjał dla pracy w odległych od kultury miejskiej wsiach? Czy będzie z nich tam właśnie pożytek? Czy nie zmarnowałoby się wysiłku i kosztów, łożonych na wykształcenie tego materjału ludzkiego, wysyłając go do pracy w warunkach, które niewątpliwie są dlań odstraszające? .

Jakie będą licea pedagogiczne, oparte na programie gimnazjalnym w myśl projektu ustawy, nie można w tej chwili stwierdzić tak doświadczalnie, jak to właśnie pokazało się na już istniejącem pedagogjum. Rozważając jednak te wielkie utrudnienia, na jakie natrafić musi każdy Jasiek z Wólki, to wędrowanie po stancjach kilkakrotne, wędrowanie po rozmaitych miejscowościach kilkakrotne, to przechodzenie od pewnego zespołu nauczycielskiego o innych nastawieniach szkolnych do coraz innego zespołu nauczycielskiego również kilkakrotne, dochodzimy do przekonania, że licea pedagogiczne będą miały taki sam materjał ludzki, jaki mają obecne pedagogja: przedewszystkiem żeński i miejski. Chłopskie seminarja, z chłopskim materjałem młodzieży, znikną. Takiej wędrówki dziecka nie wytrzyma chłop ekonomicznie, a boję się, że nie łatwo wytrzyma chłopiec i że z takich Janków wędrowników niewielu Polska otrzyma tęgich nauczycieli wiejskich. Licea pedagogiczne będą, podobnie jak dzisiaj istniejące dwuletnie pedagogja, przepełnione młodzieżą miejską. Dla Janka nie będzie tam miejsca. Nie będzie mógł z miejsca korzystać.

Czy z tego, co wyżej powiedziałem, wynika, że nie można próbować drogi, wskazanej w projekcie ustroju szkolnictwa? Jest to wprawdzie droga dla Państwa znacznie kosztowniejsza, niż dzisiejsza, wymaga bowiem już nie pięcioletniego utrzymywania wychowanka w szkole państwowej, lecz siedmioletniego, o ile mowa o pedagogjum wraz z gimnazjum, kosztowniejsza również dla rodziców tej młodzieży. Ale droga, którą — jeżeli pomija się względy ekonomiczne Państwa i społeczeństwa— można dopuścić.

Państwo daje i tę drogę — uprzywilejowaną, pod pewnym względem możnością studjów akademickich (stanowi to zresztą problem innego rodzaju, którego w tej chwili nie poruszam zupełnie) — przygotowania nauczycielskiego. Ale dlaczegóż niszczyć, i to odrazu, nie wypróbowawszy skutków projektowanego systemu, dziesięć, sto istniejących zakładów państwowych — nie licząc prywatnych i to zakładów, które nietylko dobrze, ale jak wskazuje doświadczenie, coraz lepiej wypełniają swe zadanie? Czyż nie byłoby ostrożniejsze pozostawić część pewną seminarjów dzisiejszych, wypróbować drogi nowe, porównywać wyniki, iść drogą ewolucyjną? A nie zamykać tak nagle drogi Jaśkom z Wólki.

MARJAN REITER

PRZEMIANY CHIŃSKIE

LITERATURA, dotycząca Chin, zwiększa się w Europie ciągle. Również w Polsce możemy zaobserwować zainteresowanie się tą kwestją. Roman Dmowski w ostatniej swej książce, „Świat powojenny i Polska", ogłoszonej na pół roku przedtem, zanim huk armat w Mandżurji i Szanghaju zwrócił w tym kierunku uwagę mężów stanu i pisarzy politycznych na obu półkulach, podkreśla rolę Chin w polityce i gospodarce światowej. Obok tego możemy zanotować duże dzieło Władysława Komorowskiego p. t. „Daleki Wschód w międzynarodowej polityce gospodarczej" którego znaczna część poświęcona jest Chinom. Jest to skarbnica wiadomości faktycznych, często jednak w sposób dość niesystematyczny zebranych. Obok cyfr powszechnie znanych, jak to, że obszar Chin wynosi około 11 miljonów kilometrów kwadratowych, a ludność ich około 440 miljonów ludzi, spotykamy wia-

domości o wiele ciekawsze. Nie każdy wie o tem, że w roku 1925 obszar pod bawełną wynosił 229177 ha, że więc Chiny, jeśli chodzi o obszar tych plantacyj, zajmują piąte miejsce w świecie, że w $^3/_4$ pokrywają potrzeby własnego, dość znacznego przemysłu włókienniczego. Również nie jest powszechnie wiadome to, że zapasy węgla tylko w 7 prowincjach chińskich oszacowano na 217626 miljonów ton, że Komitet Geologiczny w Pekinie oblicza zapasy rudy żelaznej na 956,2 milj. t. metr., że Chiny są największym producentem antymonu, gdyż produkcja ich stanowi 75,4% produkcji światowej, że w Chinach znajdują się złoża złota, miedzi, azbestu, cynku, rtęci, ołowiu, cyny, wolframitu, grafitu i manganu. Do interesujących faktów należy również wzrost produkcji węgla kamiennego, wynoszącej w r. 1913 — 14.000.000 ton, do 24.255.000 ton w roku 1925, oraz wzrost importu maszyn zagranicznych, który od roku 1925 do 1928 wzrósł mniejwięcej o 30%. Wszystkie tu przytoczone fakty świadczą wymownie o rozwoju gospodarczym Chin w ostatnich czasach oraz o wiele jeszcze większych możliwościach na przyszłość. Żałować jedynie należy, że cytowane przez nas dzieło zawiera zbyt mało danych statystycznych za dłuższy szereg lat, zwłaszcza lat przedwojennych. Pozwoliłyby one w sposób dokładniejszy ocenić postęp gospodarczy, dokonany przez Chiny.

Byłby on jeszcze szybszy, gdyby nie wojny domowe, będące przejawem przemian politycznych, jakie się w Chinach odbywają, oraz przeżywany przez Chiny kryzys gospodarczy. Ciekawe informacje, dotyczące kryzysu gospodarczego, znajdujemy w miesięczniku *„Revue Economique internationale“* z czerwca r. ub., a mianowicie artykuł J. M. Ryne'a: *„La depression économique internationale et les conditions dans l'Inde et la Chine“* oraz artykuł J. A. Plummer'a: *„Les consequences de la debacle de l'argent en Extrême-Orient“*. Przyczyny kryzysu gospodarczego w Chinach widzą oni z jednej strony w oddziaływaniu światowej depresji gospodarczej, z drugiej zaś strony w spadku wartości srebra, na którem, jak wiadomo, opierały się waluty Dalekiego Wschodu, dotychczas zaś oparta jest waluta chińska. Spadek zaś wartości srebra wywołany był zachwianiem się równowagi między podażą a popytem na srebro, co z kolei rzeczy pochodzi przedewszystkiem z przejścia na walutę złotą prawie wszystkich krajów świata. Zachwianie tej równowagi doprowadziło do tego, że w r. 1930 podaż srebra wynosiła 315 miljonów uncyj, a popyt zaledwie 220 miljonów uncyj. Nic też dziwnego, że cena srebra w ciągu tego jednego roku spadła z $21^5/_8$ pensa na $14^1/_2$ pensów za uncję. Taki spadek wartości srebra w krajach o walucie srebrnej ma pod wieloma względami analogiczne skutki do inflancji. I w podobny sposób, jak inflancja, dezorganizuje pod szeregiem względów życie gospodarcze, ma jednak również jak i ona w jednym kierunku wpływ dodatni: jest premją eksportową dla wytworów miejscowej produkcji, co w tym stopniu rozwoju gospodarczego, w którym znajdują się Chiny, ma specjalnie ważne znaczenie.

Ale najciekawszem dla nas zagadnieniem Chin współczesnych jest psychologja narodu chińskiego, najbardziej dla nas ważne jest pytanie, czy psychika chińska da się przystosować do nowoczesnych warunków rozwoju gospodarczego, które są wykwitem zupełnie innej cywilizacji i zupełnie innej psychiki. Temu zagadnieniu poświęcona jest książka niemieckiego profesora, dr. Richarda Wilhelma, nosząca tytuł *„Chinesische Wirtschafts-Psychologie“*. Psychologja chińska jest wynikiem tysiącoletniego rozwoju patrjarchalnego społeczeństwa chińskiego, opartego na zwartych, mocno jednostkę w karbach swych trzymających rodzinach. W czasach najdawniejszych, jednostką gospodarczą nie był człowiek pojedyńczy, lecz rodzina, będąca właścicielką ziemi i wspólnie prowadząca czynności gospodarcze. Na czele rodziny stał najstarszy wiekiem jej członek, posiadający duży zakres władzy. Był on nietylko przewódcą, lecz również kapłanem kultu przodków i wyobrazicielem tradycji rodzinnej. Kult zaś przodków i tradycja były najsilniejszemi węzłami, spajającemi rodzinę. Rodzina tworzy część składową szczepu, szczep zaś—państwa. Również w tych dwu wyższego rzędu organizacjach stosunki noszą charakter patrjarchalny. Podstawy ideologiczne tego chińskiego systemu społecznego dał Konfucjusz, dając mu jednocześnie systemat etyczny, który w ciągu tysiącoleci wychowywał w niezwykle jednolity sposób duszę chińską. System ten opiera się przedewszystkiem na umiarkowaniu. Nie stawia on celów niemożliwych do osiągnięcia, te zaś jednak, które stawia, pragnie jaknajbardziej pogłębić, pragnie traktować je w sposób najbardziej poważny. Konfucjonizm daje więc przedewszystkiem etykę dla człowieka przeciętnego, która jednak odpowiednio pogłębiona może się stać również etyką przywódcy. System etyczny Konfucjusza, wytwór staro-chińskiego państwa feodalnego, opartego na rodzinach i szczepach, przetrwał do dziś dnia mimo zastąpienia dawnego typu państwa przez państwo urzędnicze i do dziś dnia wychowuje w swych zasadach Naród Chiński. Mogło się to stać przedewszystkiem dlatego, że dawna organizacja rodziny zachowała się wśród warstwy rolniczej chińskiej, która do dziś odgrywa dominującą rolę w społeczeństwie chińskiem.

Jeśli chodzi o rolnictwo chińskie, należy pod tym względem odróżnić północ od południa. Północ posiada klimat wybitnie kontynentalny, o upalnych latach i mroźnych zimach. Pora deszczowa, w ciągu której koncentruje się większość opadów, następuje pod koniec lata. Bardzo urodzajne grunty sprzyjają rozwojowi rolnictwa, natomiast wpływ klimatu, częste klęski żywiołowe i przeludnienie działają ujemnie na stan zamożności ludności rolniczej. Jeśli uprawa roślin, a przedewszystkiem pszenicy, daje dobre rezultaty, pochodzi to w głównej mierze z ogromnej ilości pracy ludzkiej, włożonej w uprawę i ogromnej staranności w uprawie, co czyni rolnictwo chińskie podobnem do naszego ogrodnictwa.

Na południu stosunki są nieco inne, klimat tamtejszy jest o wiele dla rozwoju rolnictwa pomyślniejszy. Mamy tu przedewszystkiem do czynienia z uprawą ryżu, herbaty i jedwabiu. Pomyślny rozwój rolnictwa oparty jest tu na wielkim systemie nawodniającym.

Różna struktura rolnictwa wpłynęła na pewne różnice psychiczne między mieszkańcami północy i południa. Mieszkańcy północy są poważniejsi, bardziej konserwatywni, obdarzeni większym zmy-

słem rzeczywistości, mieszkańcy natomiast południa są bardziej ruchliwi, lekkomyślniejsi, skłonniejsi do zmian, nawet do rewolucyj.

Mimo tych pewnych różnic uderza duża jednolitość w psychice chińskiej. Wyraża się ona w niezwykle silnym związku, zachodzącym pomiędzy jednostką, a rodziną, w silnem poczuciu łączności z przeszłością, w równowadze czynników psychicznych, w harmonji między naturą a moralnością, w poczuciu ciągłości, wywołanem stałością warunków, w jakich żyje rolnictwo chińskie, w niezmiennie ścisłym związku z ziemią, którą Chińczyk uprawia dosłownie własnoręcznie, bo bez używania niemal żadnych narzędzi i maszyn, wreszcie w rzadko spotykanej w tym stopniu w innych krajach pracowitości, staranności i zręczności w pracy. Cechą, która specjalnie zasługuje na uwagę, a która jest również wynikiem warunków pracy w rolnictwie chińskiem, jest niesłychana cierpliwość, cechująca Chińczyków. Zna ona jedną tylko granicę: poczucie honoru, gdy bowiem Chińczyk zostanie dotknięty w swojem poczuciu honoru, zmienia się on z człowieka spokojnego i dobrego, na człowieka mściwego i złego. Wzięty w karby swej silnej organizacji społecznej, przeciętny Chińczyk jest człowiekiem moralnym, wyrwany z tych ram zmienia się do niepoznania i odrazu staje się pozbawionym wszelkich podstaw moralnych. Tkwią one bowiem, w odróżnieniu od europejczyka, nie w nim samym, ale w organizacji, która go trzyma w karbach.

Na kształtowanie się psychiki chińskiej wywarło duży wpływ nie tylko rolnictwo chińskie, ale również w ścisłym związku z rolnictwem pozostające rzemiosło. Wzmacniało ono jeszcze wytworzoną przez system pracy w rolnictwie staranność w pracy, a jednocześnie wyrobiło poczucie artyzmu i dobrego smaku. Import europejski wywarł ujemny wpływ na rzemiosło chińskie, jednakowoż należy sądzić, że po niejakim czasie rzemiosło chińskie zasymiluje, narazie szkodliwe, wpływy europejskie i potrafi utrzymać się na dawnym poziomie doskonałości.

Stan kupiecki w społeczeństwie tak tradycjonalistycznem i rolniczem, jak chińskie, nie cieszył się u niego dużem poważaniem. Tem nie mniej wywarł on również pewien wpływ na kształtowanie się psychiki chińskiej, kształcąc wśród kupców niezwykle wysokie poczucie uczciwości, będące wynikiem zwartej organizacji kupieckiej.

Dziś jesteśmy świadkami zarówno gospodarczych, jak i politycznych wielkich przemian, jakie przechodzą Chiny. I tu powstaje pytanie, czy Chiny, te tradycyjne i konserwatywne Chiny, są zdolne przystosować się do nowych warunków rozwoju. Oddajemy tu głos autorowi cytowanego przez nas ostatnio dzieła: „Jeśli chodzi o psychologję ludności chińskiej, uważano przez dłuższy czas w Europie, że dalszy rozwój Chin w kierunku nowoczesnym znajdzie nieprzezwyciężone przeszkody w psychologji chińskiej. Uważano Chińczyków za ultra-konserwatywnych, zakrzepłych w starych obyczajach związanych przesądami, krótko mówiąc za mało ruchliwych i tępych. Ten sąd trzeba będzie gruntownie zrewidować". „Przywiązanie do tego, co dawne, ustępuje coraz bardziej miejsca silnym dążeniom postępowym. Nawet u ludności chłopskiej znajdujemy gotowość do uprawiania nowych roślin, o ile okaże się to bardziej rentownem, i przyjęcia nowych metod uprawy rolnej, gdy przemawiają za tem środki i doświadczenie. Tępa nieruchliwość nie spotyka się już nigdzie w Chinach, tembardziej wśród młodzieży, w której rękach znajduje się w znacznym stopniu reorganizacja". „Chiński robotnik jest pracowity i inteligentny, zapoznaje się prędko i zręcznie z metodami, dla niego nowemi, i zasługuje przy dłuższej działalności na duże zaufanie". „W ten sposób psychologiczne przygotowanie Chińczyków do uprzemysłowienia Chin należy uważać za zupełnie pomyślne".

Tak więc, nie tylko bogactwa naturalne, wielka masa ludności stawia przed Chinami wielkie perspektywy rozwoju, również i właściwości psychiczne nie stoją temu na przeszkodzie. Trzeba jednak pamiętać, że mimo tych zmian, które mogą poprowadzić Chiny do potęgi gospodarczej i politycznej, w duszy Chin, ich etyce i religji, tych najbardziej niewzruszonych podstawach trwałości Chin, zajdą napewno mniejsze zmiany, niżby się pozornie wydawało.

J. PRUS

POLONISTYKA W ZŁEJ SKÓRZE

OD KILKU LAT rośnie u nas fala krytyki, wyrzekań i drwin ze studjów polonistycznych, z ich celów i charakteru. Ten pożyteczny, z pewnych względów, ferment, zwrócony przeciw powagom profesorskim, przeciw metodom i niedostatkom podręczników, monografij i wydań naukowych z dziedziny literatury polskiej ma oblicze tak wielostronne i ciekawe, że warto się nad nim zastanowić, choćby z uwagi na dużą rolę społeczną literatury i wszystkiego, co się z nią wiąże.

Chór niezadowolonych z polonistyki ma szeroką skalę: od sopranów dziennikarskich, poprzez tenory *essay*'istów, aż do basów filologicznych, językoznawczych a nawet przyrodniczych. Chór ten jest tem donośniejszy i tem chętniej bywa słuchany, iż sami poloniści są chwiejni, szukają ratunku w milczeniu; czasem przyznają się do popełnianych błędów, lecz rzadko zadają sobie trud skutecznego odparcia zarzutów niesłusznych i lekkomyślnych.

Spróbujmy przeprowadzić śledztwo, które odsłoniłoby, choć w części, sekret złej opinji, jaką cieszą się badania literackie. Sporo winy leży w samej polonistyce. Wyodrębniwszy się w drugiej połowie ubiegłego stulecia z nauk historycznych i znalazłszy miejsce osobne wśród filologji, zachowała ona wiele cech i metod, których nabyła, praktykując u starszych i bardziej wydoskonalonych umiejętności. Zrazu było jej z tem dobrze, zwłaszcza, że pozytywizm, głoszący jedność metody naukowej, dawał jej niewzruszony fundament filozoficzny. Wiek XX, wnosząc niepokój i dążności reformatorskie na całym obszarze kultury europejskiej, zachwiał podstawami metodycznemi wielu nauk. Wprowadzono zasadnicze rozgraniczenie świa-

ta przyrody i rzeczywistości wytworów ludzkich, za czem poszła dyferencjacja metod badawczych, generalizujących i indywidualizujących, oraz usamodzielnienie humanistyki. Poloniści nie prędko i nie wszyscy potrafili się do tych zmian zastosować. Dziś już uznaje się powszechnie, iż rewizja metod historyczno-genetycznych i filologicznych jest konieczna, gdyż one częściowo zwyrodniały w przesadnym biografizmie, w hurtownej produkcji bezkrytycznych przyczynków, w analizach drobiazgów, ważnych niekiedy w studjach nad autorami klasycznymi, lecz nic nie znaczących przy badaniu literatury nowszej. Żmudne zaciekanie się w detale, poruszanie zagadnień nieistotnych, a stąd rozbrat z potrzebami życia aktualnego, skrupulatne objaśnianie rzeczy znanych każdemu inteligentowi, wogóle nieproporcjonalność rezultatów w stosunku do włożonej pracy, wszystko to dyskredytowało wiele cennych zresztą rozpraw i edycyj naukowych.

W obecnym okresie przełomu, który przechodzi cała kultura, a w szczególności nauka, zdetronizowana z naczelnego stanowiska w systemie cywilizacji współczesnej, kryzys polonistyki zaznacza się może jaskrawiej, niż innych umiejętności. Badacze literatury polskiej chadzają zbyt rozmaitemi drogami metodycznemi i nie mogą dotychczas pogodzić się co do pojęć podstawowych i zadań wiedzy, którą uprawiają. W dociekaniach naukowych nigdy nie panuje wyłącznie jeden system i jedna metoda, ale chaos dzisiejszy jest niezwykle znamienny. Ostatnio zaczynają wysuwać się na czoło badań literackich szeroko pojęte studja estetyczno-opisowe, sięgające w sam rdzeń dzieła sztuki. Przemyślenie i uwspółcześnienie metod badawczych, dokonywające się obecnie wśród dość żywej dyskusji, będzie mogło zapewnić polonistyce jednolitość zasad, metod i celów poznawczych.

Polonistyka znajduje się w złej skórze przedewszystkiem na naszych uniwersytetach, których bolączką jest bezmiar studentów, a zwłaszcza polonistów. „Zamiast stukilkudziesięciu lub dwustukilkudziesięciu adeptów, niektóre uczelnie muszą kształcić wielosetkowe zastępy żądnych wiedzy miłośników literatury ojczystej. Napozór jest to fakt nader dodatni i radosny, jednakże przy bliższem wejrzeniu przedstawia się naszym oczom obraz dość smutny“. Polonistyka osiągnęła rekord popularności; ta wziętość jest przecież gatunku bardzo wątpliwego, wynika niejednokrotnie z wyrachowania na posady, z mody i ze snobizmu, nie z potrzeb istotnych.

„Falangi studentów przeszkadzają sobie nawzajem samą swą liczbą, ruchem i gwarem, który wzniecają“ [1]) Masowy popyt na polonistykę uniwersytecką jest solą w oku sąsiadów, patrzących zazdrośnie na powodzenie wykładów i ćwiczeń literackich. Przyłącza się tu jeszcze inna kwestja: polonistom zazdrości się poczytności ich książek. Wprawdzie kryzys współczesny odbił się fatalnie na czytelnictwie, jednakże z pośród całej produkcji naukowej główne zainteresowanie nabywców skupia się dokoła dzieł badaczów literatury polskiej. Piękne piśmiennictwo ojczyste ma to szczęście, a zarazem nieszczęście, że ogół inteligencji, dość obojętny wobec specjalności naukowych, zajmuje się niem tak, jak polityką, sprawami gospodarczemi lub sportem. Każdy coś wie o tych dziedzinach, każdy zapoznał się z niemi potroszę w gimnazjum, w gazecie, na meczu, na wiecu, w broszurze popularnej, w kinie, w radjo, w teatrze. Coprawda, z tej popularności płynie wiele kłopotów i nieporozumień. Dyletanci, interesujący się odrobinę literaturą i studjami nad nią, krytykują rzeczy, o których często nie mają pojęcia, rozprawiają o polonistyce z taką samą frywolnością i zarozumiałym autorytetem, jak o zagadnieniach ekonomicznych i społecznych. Laicy uważają się za kompetentnych do ferowania wyroków nietylko o utworach artystycznych, do czego każdy ma prawo, lecz również o pracach naukowych, których sensu nie rozumieją, albo też sądzą ze stanowiska fałszywego — w tym wypadku — bo z punktu widzenia innej nauki. Nawet ludzie mający znaczne poczucie odpowiedzialności, krytykują polonistów jednostronnie, nie posiadając do tego kwalifikacyj.

Błędy i *gaffe*'y przyrodników czy matematyków, prawników czy językoznawców, antropologów, etnologów, archeologów i t. p. są dla szerokiej publiczności niedostępne, zakonspirowane fachowością, to też mało kto może się z nich śmiać, gdy każda pomyłka, każdy *lapsus* polonisty staje się odrazu powszechną własnością i przedmiotem zabawy. Nie byłoby w tem nic złego, bo śmiech działa kształcąco, gdyby nie fakt, iż błędy polonistów są przeceniane. Wytwarza się u nas fałszywą suggestję, jakoby reprezentanci innych nauk byli nieomylni, a tylko ci badacze literatury robią ciągle jakieś fałszywe kroki; tymczasem oni nie są ani lepsi ani gorsi, tylko ich pisma są bardziej przejrzyste, lepiej zrozumiałe, stąd — popularniejsze, ale też łatwiej ulegające obmowie.

Na słabostkach i niedostatkach — rzeczywistych lub urojonych — nauki o literaturze polskiej zdrowo używają recenzenci, krytycy „niefachowi“, t. zw. impresjoniści. Jednym z dowodów rozgardjaszu, panującego na terenie polonistyki, jest fakt, że sprawa rozróżnienia badań naukowych od felietonów literackich budzi wątpliwości wśród uczonych. Niedawno jeszcze prof. M. Kridl, w książce „Krytyka i krytycy“, usiłował dowieść, że „niema historji literatury ani krytyki literackiej jako dziedzin odrębnych, operujących innemi metodami i mających odmienne zadania. Jest tylko j e d n a j e d y n a k r y t y k a, jako odrębna od innych nauk dziedzina badania, którego przedmiotem są teksty literackie i wszystkie z temi tekstami związane problematy i zagadnienia, począwszy od objaśnień językowych, skończywszy na syntezie historyczno-psychologicznej“ [2]). Prof. Eugenjusz Kucharski w znakomitej recenzji z książki Kridla wykazał przekonywająco błędność jego tezy, stwierdzając, iż różnica między umiejętnością, a krytyką literacką leży w odrębnych motywach, w innem ustosunkowaniu się do przedmiotu, w innym celu i zasadniczo różnych potrzebach duchowych, którym służą obie czynności. Krytyk chce estetycznie u ż y w a ć, to też interesują go tylko twórcy wybitni, wszystko jedno dawni czy współcześni, historyka interesować będą wielcy i mali, ponie-

[1]) Por. Mieczysław Piszczkowski: „Kryzys polonistyki“. „Ruch Literacki“ 1929. Nr. 2, str. 33—34.

[2]) Por. Manfred Kridl: „Krytyka i krytycy“. Warszawa 1923, str. 65.

waż przedewszystkiem chce poznać. Krytyka współtworzy z literaturą, poniekąd ją kształtuje, a więc uczestniczy w jej powstawaniu, natomiast umiejętność literacka bada literaturę taką, jaka jest [3]). Fragment poglądów na różnicę wiedzy o literaturze i krytyki literackiej przytoczyliśmy dla unaocznienia faktu, iż przy obecnej chwiejności pojęć i dystynkcyj podstawowych *essay*'iści nasi mają otwartą drogę do kłusownictwa. Trzeba im wprawdzie przyznać wiele zasług i zalet; odznaczają się oni często większą, niż uczeni, bezpośredniością, świeżością i aktualnością w ujmowaniu zagadnień i dzieł literackich, ale są zbyt pochopni, tendencyjni w ocenach; grzeszą ignorancją i zbytniem zaufaniem we własną intuicję przy kwestjach, które musi się wiedzieć i znać. *Essay*'iści występują wobec uczonych nietylko w roli konkurentów, ale stawiają się chętnie w pozycji mentorów, poprawiaczy, pedagogów; przeprowadzają niedorzeczne klasyfikacje różnych typów badania, wyrzekają na tekstomanję, której nie rozumieją, sugerują pomysły metodyczne, które są już wszystkim znane, wogóle celują w odkrywaniu Ameryki. Cała ta guwernerka, pełna niechlujstwa i nieporozumień, byłaby komiczna, gdyby nie to, że zaciekłość i talent, z jakim ją prowadzą krytycy, zaczyna — pomimo wszystko — dawać dobre wyniki, gdyż skłania uczonych do rachunku sumienia, do pozbycia się przeżytków i jednostronności, do pogłębienia metod badawczych.

Zabawnie wyglądają sprzeczności w zarzutach, stawianych polonistyce z rozmaitych stron. Gdy np. *essay*'iści wytykają badaczom literackim zbyt rzadkie opracowywanie problemów estetycznych, to znów niektórzy filologowie i językoznawcy twierdzą, iż rozprawy dotyczące artyzmu w utworach pisarskich nie przynoszą nic nowego, bo niema w nich żadnych „odkryć“, nieznanych dokumentów, materjałów i faktów. A więc nic naukowego. Z tą naukowością jest wogóle źle. Dyletanci dąsają się na polonistów za to, że są zanadto naukowi, erudyci, akademicy tymczasem, przedstawiciele nauk bardziej „ścisłych“ odmawiają badaniom literackim charakteru naukowego. Można tu pominąć przyrodników, którzy właściwie całą humanistykę uważają za zbiór umiejętności nieścisłych, gdyż nie formułujących praw i nie posługujących się przyrządami (oprócz nielicznych wyjątków), zapewniającemi objektywizm badań, ale nawet humaniści krzywią się na naukowość studjów literackich. Może przyczyną jest tu fakt, że t. zw. naukowość posiada bardzo szeroką skalę, niemal każda umiejętność ma inny stopień naukowości. Aby uniknąć wiecznych sporów na ten temat, należałoby chyba wykreślać co pewien czas drabinę hierarachiczną, na której każda dziedzina wiedzy posiadałaby swoj, wyższy lub niższy, szczebel. Oczywiście na takiej drabinie polonistyka znalazłaby się raczej u dołu, niż u góry, lecz bądź co bądź okazałoby się, że jej podstawy naukowe są wystarczające, by nie wypaść poza nawias uznanych sciencyj.

Kompleks badań literackich[1]) posiada swój przedmiot w postaci tej kategorji tekstów, które zawierają świadomie komponowaną, fikcyjną rzeczywistość (t. j. liryka, epika, dramat, romans). Oprócz tego właściwego przedmiotu polonistyki (podobnie zresztą, jak romanistyki, germanistyki, anglistyki i t. d.) należą do niej dotychczas dwie dziedziny: 1) klasa tekstów, mających treść niefikcyjną, np. naukową lub polityczną, o ile posiadają pewne walory artyzmu pisarskiego w zakresie języka, obrazowania, wogóle w sposobie ekspresji. Badania nad tą klasą tekstów powinny być odstąpione kiedyś stylistyce, gdy ona się rozwinie; 2) Należą tu osoby twórców i procesy tworzenia. Studja psycho-genetyczne, posługujące się dziełem literackiem tylko jako narzędziem do poznania autora, również powinny być wyodrębnione i zaliczone do psychologji twórczości, czy też do jakiejś nowej, osobnej biografistyki.[2]) Studja nad literaturą posiadają pewne metody dość wyrobione, są mianowicie środki badania, używane we wszystkich umiejętnościach filologicznych, przy takich kwestjach, jak ustalanie tekstu, jego autorstwa, daty i warunków powstania, filjacyj i t. p. Jest to zakres dociekań względnie naukowych, gdyż wcale objektywnych, operujących techniką wydoskonaloną w obrębie metody historyczno-filologicznej. To stadjum badawcze nietylko nie wyczerpuje przecież zadań polonistyki, lecz jest zaledwie wstępem, coprawda koniecznym, do istotnego poznania dzieł sztuki pisarskiej. Zrozumienie dzieła, intuicyjne wniknięcie oraz interpretacja jego zawartości, analiza motywów i syntetyczne rozwiązywanie problemów literackich, niemal wszystko, co dziś uważa się za główne elementy badań nad literaturą, nosi w znacznej mierze charakter subjektywny. Oczywiście nie znaczy to bynajmniej, aby przy tem nie obowiązywały zasady objektywności, jak wyczerpanie materjału dowodowego, znajomość literatury przedmiotu, sumienność i rzeczowość w kontrolowaniu każdej tezy, każdego sądu, używanie pojęć możliwie ściśle określonych etc. Przeciwnie, cała ta sfera studjów literackich, zbliżona do krytyki impresjonistycznej, różni się od niej — obok innych względów — tem, iż uczony unika niekompletności i dowolności w opracowaniu materjału, na co *essay*'ista nie może sobie pozwolić, gdyż on przedewszystkiem dokonywa projekcji własnej osobowości w dzieło sztuki, spowiada się ze swych wrażeń i wzruszeń bez konsekwentnej tendencji do nadawania im pewnych cech objektywizmu. Krytyka literacka, jako strefa graniczna nauki i sztuki, jest rzemiosłem artystycznem. Podobnie np., w dziedzinie rękodzieł, złotnictwo stoi na pograniczu rzemiosła ślusarskiego i sztuki rzeźbiarskiej.

Różnice między krytyką impresjonistyczną a badaniami nad literaturą byłyby o wiele wyrazistsze, gdy nie zamazywały się wskutek niezdecydowania samych uczonych. Fakt, że pozycja studjów polonistycznych jest jeszcze dzisiaj chwiejna, może — wobec ożywionej wymiany myśli w tej sprawie — ulec korzystnej zmianie znacznie prędzej, niż się wydaje sceptykom.

MIECZYSŁAW PISZCZKOWSKI

[3]) „Pamiętnik Literacki“. R. XXI. Lwów 1924/5, str. 405—410.

[1]) Por. Konstantyn Troczyński: „Przedmiot i podział nauki o literaturze“. Księga Pamiątkowa Koła Polonistów Uniwersytetu poznańskiego. 1919 — 1930. Str. 171 — 197.

[2]) Zob. Paweł Rybicki: „Człowiek i dzieło jako przedmiot badań literackich“. „Ruch Literacki“. 1926. Nr. 7.

NA WIDOWNI

Akordy historyczne. — Motyw ludowy i rodzimość. — Pas kmiecy na biodrach królów. — Hieratyczny strój państwowości. — Cywilizacja trzeszczy w stawach. — Naród ma własne pojmowanie szczęścia — Czy Łokietek nie był „państwowcem"?

NIE sposób wyrozumieć wszystkiego, co się dzieje na widowni życia, jedynie z ostrza chwili bieżącej. Można po dziennikarsku polować na fakty, jak na kuropatwy; wtedy fakt istnieje od chwili, kiedy się z pod nóg poderwie. Publicysta jednak ma do czynienia ze zjawiskami dziejowemi, które się odzywają akordami. Kiedy np. upominamy się o Jaśka z Wólki, to przemawia przez nas myśl o roli ludu w historji, dojrzewająca w starszem pokoleniu od lat kilkudziesięciu, a w młodszem będąca już dogmatem. Autorzy zaś projektu nowej ustawy o ustroju szkolnictwa też swojej idei dzisiaj nie wymyślili, lecz realizują, korzystając ze sposobności, przekazy historyczne tajnych organizacyj z przed Rewolucji francuskiej. Przypominam dokumenty ogłoszone w „Myśli Narodowej" w roku ubiegłym[1]).

Treść dziejów wypełniona jest walką narodu o należyte prawo rozwoju, bo ten rozwój zawsze komuś przeszkadza. O to samo, co dzisiaj, walczyliśmy przed wojną, w czasie rozbiorów, przed rozbiorami... Nie zawsze dopisywała nam świadomość, o co mamy walczyć i z kim, a wtedy nie można było przewidzieć kresu niedoli narodowej. Teraz świadomość jest większa, przez co szanse nieprzyjaciół się pogorszyły i przynaglają ich do niecierpliwego pośpiechu.

— — — — — — — — — — — —

Każda myśl żywotna, wyłoniona z życia, ma swój byt trwały i obchodzi swoje jubileusze historyczne. Wolno mi też przypomnieć dzisiaj, w jakiej formie rodziła się nasza myśl przewodnia, o którą dotąd coraz uporczywsze walki toczyć musimy. Przeniosę was myślą 45 lat wstecz na ul. Świętokrzyską nr. 11 w Warszawie, do redakcji powstającego „Głosu", gdzie dobywając myśl z chaosu nastrojów społecznych, układano wyznanie programowe do prospektu pisma. Widać z tego prospektu, jak ścierały się ówczesne hasła „wiedzy i postępu" z jakiemiś nowemi, którym nie śmiano zaprzeczyć bytu ze względu na nastroje demokratyczne, ale co do których nie zdawano sobie jeszcze sprawy, że kiełkuje w nich „nacjonalizm". Widzę tam zdania, które podyktował Popławski, opętany ideą archimedesową, gdzieby znaleźć realny punkt oparcia dla dźwigni, którąby Polskę dobyła z przepaści. Był to jakiś moment pomyślnej konjunktury cenzuralnej (cenzor Ryżow). Można było wspomnieć o Niemcach jako prześladowcy „plemienia" naszego, można było podnieść znaczenie ludu. Rosjanie byli ludu naszego pewni, uważali się bowiem za jego dobroczyńców (wywłaszczenie). Stąd taki syllogizm w programie:

„Bez fałszywych złudzeń, ani zbytniego pesymizmu pracować będziemy nad spotęgowaniem i uświadomieniem tych sił, które w nowej przemianie bytu społecznego muszą z konieczności wystąpić jako naczelne, płodne i żywotne, pragniemy, o ile to w naszej mocy, współdziałać wytworzeniu się tych nowych form swojskiego bytu i cywilizacji, które mają największe dane trwałości.

Chwila obecna postawiła nas wobec groźnego zagadnienia, którego rozwiązanie będzie twardą i stanowczą próbą naszej mocy plemiennej. Potęga germańska zwróciła przeciw nam olbrzymie środki swej kultury i organizacji państwowej. Rozpoczynamy walkę już nie o byt odrębny, państwowy, ale o życie plemienia, walkę do której wystąpić muszą wszystkie rezerwy narodu".

Program zwraca się dalej do pozytywistów, którzy zaczęli pracę pod hasłem demokratycznem, aby wypowiedzieli ostatnią konsekwencję swych zasad.

„Konsekwencją taką jest: uznanie ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowej.

Powołany w nowych warunkach samodzielnego bytu lud ten siłą konieczności rozwija się na mocy własnych zasobów i dąży — bo dążyć musi — do obywatelskiej samowiedzy.

Rozum dziejowy każe nam uznać doniosłość tego procesu, połączyć z jego postępem najżywotniejsze interesy kraju, walczyć z przesądami, które zaćmiewają jego znaczenie, z uprzedzeniami, które mącą opinję inteligencji naszej. Wynika stąd postawienie zasady, że interesy i potrzeby ludu naszego powinny być górującym akcentem w pracy społecznej, wytycznym punktem działania zarówno tej części inteligencji, która ma obowiązek zmazania błędów przeszłości, jak i tej, co w pocie czoła musi stwarzać zadatki nowej doli.

Stojąc na gruncie realnych interesów ludu popierać będziemy z jednej strony wszelkie usiłowania, mające na celu wyzwolenie pracy, z drugiej jednak strony wypowiemy walkę doktrynom apostołów kosmopolitycznego socjalizmu, którzy nie pamiętają o tem, że lud nasz posiada własne pojmowanie szczęścia nie dające się ułożyć w oderwane lub wzięte z obcego gruntu formułki".

Każdy, kto się wczyta w te mądre słowa w świetle historycznem, zrozumie, że było to pozornie tylko hasło socjalne; była to formuła nowożytna nacjonalistyczna, szukająca oparcia dla idei narodu w czynnikach „swojskiego bytu", mających „największe dane trwałości i żywotności". Zasada walki z kosmopolitycznym socjalizmem usuwa co do tego wszelkie wątpliwości.

O tym ludzie, jako „rezerwie narodu", myślały w Polsce wszystkie patrjotyczne umysły od czasu upadku państwa. Kończyło się na emblematach i literaturze lub etnografji. Nasze dopiero pokolenie znalazło w nim realne oparcie dla swej dźwigni politycznej, która poruszyła z posad sprawę narodu. Była to zarazem znakomita szkoła dla tego pokolenia. Jeżeli nauczyło się widzieć realnie interes narodu i dziejów, jeżeli nie zmarnowało duszy swojej w polityce, ale owszem podniosło politykę do godności dobrej wróżki narodu, wprowadzającej harmonję do życia cywilizacji, to zawdzięcza to współżyciu ze zdrowemi instynktami narodowemi ludu.

— — — — — — — — — — — —

Z tego akordu, poczętego 45 lat temu, pochodzi nasze upomnienie się o Jaśka z Wólki, którego „interesy i potrzeby powinny być górującym akcentem w pracy społecznej". Dysonans ten budzi też refleksje, jak dalece nic się nie zmieniło od owego czasu w walce naszej o rolę narodu. Już wtedy marksizm kosmopolityczny, łamiący zęby na ludzie wiejskim, kładł nacisk na życie miast i przemysłu, wyrażając pogardę do „wiejskiej obórki". Ze wszystkiemi żywiołami się pokumał, nie wyłączając kapitalistycznych, aby tylko tworzyć jaknajwiększy front przeciwko nacjonalizmowi. Bliższy był przecież ludności żydowskiej, niż chłopskiej, a w walce z DNarodową miał wszędzie sojusznika w rządach państw zaborczych. Dzisiaj ten sam kompleks polityczny uświęca ideą „państwowości"

[1]) H. Rolicki „Szkoła jednolita i wychowanie państwowe". „Myśl Nar." z r. 1931, nr. 15 i 16.

wszystkie swoje dawne idjosynkrazje. Naród znalazł się w niełasce u swego państwa.

Jakże prorocze były te śluby, składane ludowi. Stulecie nie dobiegło jeszcze do końca, kiedy lud małopolski pod wodzą ks. Stojałowskiego zburzył układy stańczykowskie z Franciszkiem Józefem, lud zaś wielkopolski, organizowany przez ks. Wawrzyniaka, zniweczył ugodę ziemian z Wilhelmem II zawieraną i odrodził ducha swej dzielnicy, ba — całej Polski, kładąc nieprzebytą tamę ekspansji niemieckiej. W kilka lat potem, gdy kierownikom kosmopolitycznej roboty socjalistycznej wydawało się, że już zrównali Kongresówkę z poziomem Rosji, gubiąc indywidualność Polski w zawierusze rewolucji rosyjskiej, wystąpili chłopi w Warszawie ze swojem: jesteśmy, co odrazu przywróciło pion normalny społeczeństwu polskiemu.

Trzydzieści lat temu stronnictwo DN układało swój program na wszystkie dzielnice, program walki o niepodległość i zjednoczenie; wszędzie wywiodło swą myśl z zasady tożsamości narodu z ludem. Przeciw temu Polakowi nowoczesnemu, którego w symbolice nie można sobie inaczej wyobrazić, jak w szerokim pasie na biodrach tak, jak królów malował Wyspiański, sformowała się konfederacja żywiołów bez stylu pod wodzą tajnej międzynarodówki. Oba te obozy znalazły się w ramach jednego państwa, ono zaś—czy kto chce czy nie chce — stanowi tożsamość z narodem, którego imię nosi. Walka między obozami toczyć się musi dalej o to, czy Polska ma być dla Polaków, albo też hotelem, czy narodowi wolno mieć własne pojmowanie szczęścia i stylu. Na razie żyjemy pod grozą doktryny o samoistnym bycie idei państwowej w czystej, apriorycznej postaci; styl państwowy jest uniwersalny, państwo przeto nie może być narodowem.

Walka o rodzimość jest walką o byt. Styl bowiem nie jest tylko sprawą formy, wraz ze stylem wydziera się treść z duszy narodu.

— — — — — — — — — — — —

Mąż stanu, który nigdy nie ślubował swej rodzimości, albo śluby swe złamał, bałamucąc się międzynarodowo, nie może być twórczym. Losem jego jest walka z rzeczywistością, podczas gdy twórczością jest tej rzeczywistości organizowanie. Ponieważ najogólniejszą postacią twórczości jest ustrój cywilizacyjny, więc człowiek obcy rzeczywistości narodowej ma posępne zadanie (bynajmniej nie radosne) psucia tego ustroju i borykania się z duszą narodu, który z tą cywilizacją, od podstaw ludową, jest utożsamiony.

Niema w życiu cywilizacji takiego punktu, któryby nie był zagrożony wskutek tego błędnego poglądu, że życie państwowe może być pomyślane logicznie poza psycho-fizyką narodu. W praktyce równa się to wyłamywaniu stawów organizmowi. Ten „miljon“, który coś kocha i jest przez swoje śluby istnością moralną, cierpi katusze,

> Patrzy na ojczyznę biedną
> Jak syn na ojca wplecionego w koło.

Los Jaśka z Wólki przytoczony był, jako ilustracja wielu podobnych zjawisk. Istnieje w organizmie cywilizacji cały szereg stawów, które trzeszczą przy takim zatargu z rzeczywistością. Dość wymienić sprawę podstaw religijnych w ustroju moralnym narodu, sprawę rodziny, opartej na nierozerwalności małżeństwa, sprawę struktury kulturalnej w takim fragmencie ważnym, jak powaga uniwersytetów, sprawą praworządności i godności obywatelskiej...

Naród wreszcie ma swoją postawę polityczną, wytworzoną wiekowem działaniem warunków historyczno-geograficznych. Jest to rzeczywistość, dająca się najlepiej uświadomić i udowodnić dokumentami historycznemi.

Z założenia ogólnego zwolenników trzeszczenia kości wynikałoby, że można Polskę obracać do wiatru, jak wiatrak, że można w jej korzeniach geograficznych gospodarować dowolnie.

Historja uczy, że Polska jest zwornikiem Europy, ale że zwornikiem Polski jest Pomorze. Polacy historyczni, mający w instynktach poczucie tej prawdy, pamiętają walki Przemysława, Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego o Pomorze prowadzone, w celu zjednoczenia ziem polskich i utwierdzenia państwa. Jakże chcieliby zrozumieć, dla czego dzisiaj patrjotyzm pomorzan, stanowiący rękojmię oporności tego zwornika, wydaje się być zawadą dla czystej idei państwowej. Nie umiał dać na to odpowiedzi, w tak wielkie zaufanie i fundusze uposażony, p. Lamot.

Czyż ten Łokietek, który przed 600 laty, jak my tej wojny, zbierał ziemie polskie, albo Kazimierz Wielki, owi wielcy twórcy państwa polskiego — nie dla tego byli tymi twórcami, że w działaniu jednali się z narodem? Tradycja widzi w nich królów ludowych, wyobraża ich symbolicznie z pasem chłopskim na biodrach.

Szukali oni oparcia dla państwa w „mocy plemiennej” narodu pod hasłem: „Polska dla Polaków”. Nic się przecież nie zmieniło zasadniczo: i dziś, jak przed 600 laty, jak przed laty 45, „potęga germańska zwraca przeciwko nam olbrzymie środki swej kultury i organizacji państwowej“. A w walce takiej — jak dawniej, tak i teraz — „wystąpić muszą **wszystkie rezerwy** narodu”.

Nie stać nas na walkę wewnętrzną. A już najmniej wskazane jest dla państwa błąkanie się duszy narodu, ona bowiem jest siłą jego wzrostu i obrony. Naród musi mieć własne „pojmowanie swego szczęścia”, a wyrozumieć je jest pierwszem zadaniem mężów stanu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

MAŁO CZEM POPISYWAŁ SIĘ OBÓZ „SANACYJNY“ TAK KRZYKLIWIE i natrętnie, jak swojem spadkobierstwem w stosunku do „idei jagiellońskiej“. Do znudzenia powtarzano o swej wierności dla tradycji Jagiellonów, do niej nawiązywano ustawicznie, i z tamtych czasów, z największą bezceremonjalnością i tupetem, wyprowadzano swoje polityczne rodowody. Ludzie naiwni prawie już gotowi byli przyjąć na serjo, że różnica programowa pomiędzy narodowcami a „sanatorami“ do tego się właściwie sprowadza, iż pierwsi są dziedzicami duchowymi wielkich dążeń historycznych epoki piastowskiej, drudzy zaś — jagiellońskiej.

Jakże trudne jest realne, prawdziwe pielęgnowanie tradycyj przeszłości w narodzie, w którym ciągłość rozwoju dziejowego przerwała stuletnia zgórą niewola, niszcząc doszczętnie wszystkie nieomal instytucje i formy życia zbiorowego, w ciągu wieków ukształtowane i stworzone. Z epoki Jagiel-

lonów po dzień dzisiejszy przetrwała, nie zawaliwszy się, bodaj jedna tylko wielka instytucja narodowa: Uniwersytet Jagielloński w Krakowie. Z przebogatego skarbca Jagiełłów, w Polsce przez sto lat plądrowanej przez najeźdźców, bodaj ten jeden tylko klejnot pozostał na dawnem miejscu nienaruszony. Coprawda klejnot jeden z najcenniejszych, szczególnie przez Jagiellonów umiłowany. W pamięci stają dostojne słowa aktu z r. 1401, w którym przyszły zwycięzca z pod Grunwaldu wszechnicę krakowską fundował:

„Zaprawdę dla tegośmy z Boskiego zrządzenia państwo ludzi rozmaitych y Prowincyi różnych przyjęli, y na Królestwo Polskie koronowani, abyśmy toż Królestwo uczonemi ludźmi ozdobili... nic nie wątpiąc, że ta sprawa poddanym naszym pożytek przyniesie, a zwłaszcza w Mieście naszym Krakowie... y za przystoyną rzecz nam się zdało Kollegium mianować, obrać, postanowić, zasadzić, ordynować y erygować: y iuż tym listem teraźnieyszym zasadzamy, postanawiamy na wieczne czasy. Y niechay iuż tam będzie, iako iaka Perła nauk wszystkich, aby wypuszczała z siebie ludzie poradne, cnotami ozdobione, y w rozmaitych professyach ćwiczone: y niech tam będzie studnica nauk, z którey będą mogli wszyscy czerpać, chcący co umieć".

Wydawałoby się, że dla „spadkobierców idei jagiellońskiej" ten testament króla Władysława będzie czemś szczególnie obowiązującem pod względem moralnym. Wydawałoby się, że ta Perła z korony Jagiełłowej, ten realny, żywy łącznik z tradycją Jagiellonów, jakim jest krakowska wszechnica, stanowić będzie przedmiot szczególniejszej ich czci i przywiązania.

Jak jest w rzeczywistości? Oto gdy Senat Uniwersytetu Jagiellońskiego, w poczuciu swej odpowiedzialności moralnej za poziom umysłowy przyszłych pokoleń, złożył Sejmowi opracowane przez siebie memorjały w sprawie omawianego tam właśnie projektu nowej ustawy o ustroju szkolnym, p. poseł Szyszko, z klubu BB, zgłosił wniosek, by nad memorjałami powyższemi przejść do porządku dziennego, wcale nawet ich nie odczytując, większość, złożona z posłów z BB, wniosek ten uchwaliła, zaś w dwa dni później (12.II r. b.) p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Jędrzejewicz oświadczył na posiedzeniu komisji skarbowo-budżetowej Senatu:

„Chcę... kategorycznie zwrócić uwagę, że Senat Uniwersytetu, niezapytywany przez nikogo, nie jest w żadnym razie powołany do opinjowania na *forum externum* projektów ustaw, wbrew stanowisku ministra, któremu podlega".

CIAŁO NIEPOWOŁANE I NIEKOMPETENTNE, senat uniwersytetu Jagiellońskiego, ni stąd ni zowąd opracowało i skierowało do ministra oświaty dwa memorjały w sprawach szkolnictwa średniego i wyższego... Wybryk został skarcony przez min. Jędrzejewicza na posiedzeniu komisji skarbowo-budżetowej senatu: „...uważam za wysoce niewskazaną i niebezpieczną drogę bezpośredniego ingerowania na terenie parlamentarnym ze strony jakiegokolwiek ciała urzędowego, wyraźnie podporządkowanego czynnikom rządowym..." Obruszył się w ministrze zmysł praworządności. „Niewskazaną, albowiem całe szkolnictwo jest dziedziną, za którą minister ponosi całkowitą parlamentarną i konstytucyjną odpowiedzialność, wobec czego tylko on ..." i t. d. Niewątpliwie, tylko wyjątkowa kompetencja w rzeczach nauki i nauczania umożliwiła ministrowi tak wrażliwe wyczucie monopolu odpowiedzialności w tych dziedzinach, że nawet doradcze memorjały najstarszej wszechnicy polskiej wydały mu się nastawaniem na praworządność w oświacie. Łatwo mogą krytykować ministra przeciwnicy polityczni, lecz czy jest kto wśród ludzi nauki, coby kompetencję jego kwestjonował, coby jego imienia nie wymieniał z mimowolnym respektem?... Ależ nawet i wśród profesorów niełatwo o umysł, tak drażliwy na punkcie niezależności nauki od względów politycznych. Właśnie brak ducha objektywizmu i dbałości o prawdziwe interesy nauki uderzył ministra w memorjałach uniwersytetu. „Okazało się, że... opozycja i z tej sprawy chce zrobić (tu zniżył się do języka nienaukowego) odskocznię dla celów czysto politycznych". W dalszym ciągu przemówienia, gwoli zrozumiałości, nadwyrężył nawet nieco gramatykę: „Cała ta sprawa staje się tembardziej przykra, gdy wnikniemy w formę enuncjacji, o której mówię. Forma ta bowiem dać mogła i dała powód do posądzeń, że wysokie to ciało naukowe dało się wciągnąć do walki politycznej, a nie potrzebuję chyba dowodzić, że byłaby to dla senatu wysoce niewłaściwa rola". Jak subtelne kryterja zastosował tu do oceny owych memorjałów, dowodzi głos krakowskiego „Czasu", pisma, które, orjentując się ze stanowiska grubszych sprawdzianów politycznych, wyjaśniało: „...jest absolutnie nieprawdą, jakoby memorjał ten był uchwalony pod jakimkolwiek wpływem (czynników politycznych). Kto tak pisze, nie zna tradycji Uniwersytetu Jagiellońskiego". Najdowcipniej postąpił sobie klub B.B., który do skarcenia wszechnicy na plenum sejmu wydelegował jedynego w licznem swojem gronie niedouczka, posła Szyszkę, nauczyciela bez zdanego egzaminu... Należy przypuszczać, że senat uniwersytecki zrozumiał delikatną intencję tego kroku.

AUTONOMJA UNIWERSYTETÓW MA BYĆ ZATEM jedną więcej tradycją kultury europejskiej, którą Polska ma utracić wzamian za dalsze doświadczanie dobrodziejstw sanacyjnego *régime*'u. Coraz wyraźniej staje przed nami alternatywa: „sanacja"—czy ta Polska, którą stworzyły wieki przynależności do cywilizowanej Europy? Coraz jaskrawiej widać, jakie to *incompatibilia.* Co się tyczy szczegółów zamierzonej reformy ustroju szkół akademickich, to m. in. zniknąć ma tradycyjna niedostępność terenów uniwersyteckich dla ingerencji władz policyjnych. Jak to zaznaczył poseł Bielecki na komisji oświatowej sejmu, policja, w myśl projektu rządowego, będzie mogła ingerować już nie za zezwoleniem, lecz za „zawiadomieniem" rektora, czyli — zawsze. Kompetencję władz akademickich w sprawach nauczania dotkliwie uszczupla art. 52 projektu, zapowiadający, jak to formułuje wspomniany memorjał: „...organizację nieznanego dotąd w szkołach akademickich studjum „dla studentów szkół wyższych" (a więc wszystkich, zapewne i studentek), w zakresie: 1) obrony technicznej państwa, 2) nauki obywatelstwa, 3) sprawności fizycznej. W motywach położony jest nacisk nie na obronę państwa, ani na sprawność fizyczną, ale na naukę obywatelstwa. Co ma być jej treścią, nie określono, tylko z przytoczeń wzorów obcych (zwłaszcza Niemiec, Włoch i Rosji sowieckiej), dowiadujemy się, że tu chodzi o naukę o teraźniejszości, i że „częstokroć nie będą one miały charakteru ścisłych

nauk". Organizacja tych studjów należeć będzie bezpośrednio do ministra, i według art. 52, „będzie stworzona bądź przy szkołach wyższych, bądź oddzielnie, na zasadach, jakie ustala rozporządzenie ministra". — Chodzi zatem przedewszystkiem o „naukę o teraźniejszości", która częstokroć nie będzie miała charakteru nauki „ścisłej". Lecz nie to może jest w projekcie całym najkomiczniejsze. Palma pierwszeństwa niewątpliwie należy się pomysłowi, żeby (dużym kosztem dla państwa) uczyć specjalnie młodzież akademicką — ducha obywatelskiego... Jakże przeciwne to wszystkim polskim tradycjom akademickim, choćby od czasów Filaretów i Filomatów... Wyobraźmy sobie, o ile lepiej Mickiewicz, Zan, Odyniec i ich przyjaciele zrozumieliby ducha obywatelskiego, gdyby ich go w osobnem studjum nauczono... O ile lepiej biłaby się Legja Akademicka, gdyby wszyscy ochotnicy przed wstąpieniem zdali egzamin ze znajomości obowiązku patrjotycznego, w duchu art. 52 projektu rządowego... Wogóle, żeby w ubogiem państwie, w którem młodzież akademicka (jak i w niejednym innym kraju) zawsze świeciła przykładem cnót obywatelskich, bezinteresowności i poświęcenia dla Ojczyzny, zawsze przodowała samorzutną inicjatywą służby sprawie publicznej — żeby w tem państwie odczuwano pilną potrzebę „nauki" o obywatelstwie dla studentów—to groteska, jakiej świat nie widział, źle maskująca prawdziwe zamiary autorów projektu... Ufamy, że młodzież akademicka pozna się na komizmie sytuacji. Mniej pewien tego jest senat uniwersytetu jagiellońskiego, który pisze w memorjale: „...młodzież... szkół (akademickich) składała dostateczne dowody patrjotyzmu i poświęcenia. Niepodobna przypuścić, aby jakiekolwiek poza Uniwersytetem zorganizowane studja mogły przynieść owocniejsze rezultaty, raczej grozi obawa, że przyniosą skutki niepożądane i nieobliczalną reakcję".

PAN MINISTER JANUSZ JĘDRZEJEWICZ I PAN WICE-MINISTER KAZIMIERZ PIERACKI — KONFRONTACJA POGLADÓW. Wspólną bolączką wszystkich oponentów przeciwko projektowi nowego ustroju szkolnictwa jest sprawa pokrzywdzenia ludności wiejskiej, nie mającej u siebie szkół wysokiego stopnia organizacyjnego, a więc, wobec postanowienia ustawy, że wszystkie inne szkoły będą opierały się właśnie na szkołach stopnia wysokiego, pozbawionej możności kształcenia swych dzieci w szkołach wyższych (średnich i innych). Ludność wiejska będzie miała tak wielkie utrudnienia, że dalsze kształcenie dzieci wiejskich na inteligencję niepomiernie będzie w stosunku do teraźniejszości dla tej ludności kosztowniejsze.

Pan minister Jędrzejewicz, chcąc uspokoić oponentów i odeprzeć, względnie złagodzić zarzut, zapewniał na zebraniu Komisji Oświatowej Sejmu w dniu 29 stycznia b. r., że niesłusznem jest, jakoby oparcie gimnazjum na drugim szczeblu programowym szkoły powszechnej było krzywdzące dla wsi, albowiem, jego zdaniem, już szkoły trzyklasowe obecne staną się szkołami drugiego stopnia. W ten sposób tylko szkoły jedno- i dwuklasowe, nie mające szczebla drugiego programowego, nie będą dawały swym wychowankom prawa bezpośredniego przejścia do szkół wyższych. Jest to wprawdzie pociecha bardzo słaba i zarzut nieodparty, bo tych właśnie szkół jedno- i dwuklasowych jest w Polsce kilkanaście tysięcy, ale przyjmijmy na razie i tę pociechę.

Tymczasem pan wiceminister Pieracki, w przemówieniu swem w sali Towarzystwa Hygjenicznego w dniu 8 lutego 1932 r., wypowiedział w tej sprawie pogląd nieco odmienny. Powiedział mianowicie, dosłownie: „Pytają się niektórzy, do jakiej grupy będą należały szkoły np. trzyklasowe. Ciekawym można odpowiedzieć, że jest co najmniej wątpliwe, czy szkoła trzyklasowa będzie mogła wykonać program szkoły II stopnia. Wolałbym patrzeć pessymistycznie w tej sprawie. Ale już szkoła czteroklasowa i t. d."

Mamy więc wypowiedziane przez usta pana ministra i pana wiceministra dwa rozmaite poglądy na to, jak będzie wyglądało wykonanie ustawy w stosunku do wsi. Czy istotnie twórcy projektu ustawy tak dalece nie zastanawiali się nad przyszłością, że już po wniesieniu projektu mogą zdarzyć się takie różnice?

Czy już z tego nie wynika słuszność zarzutu, że projekt wypracowano bez odpowiedniej powagi i wniesiono zbyt pośpiesznie?

NAUKA I LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Wielkie zainteresowanie obudziła zapowiedź teatru Polskiego, że niebawem wystawiona będzie nowa sztuka A d o l f a N o w a c z y ń s k i e g o p. t. „Komedja Amerykańska". Akcja toczy się w maju 1931 roku w Chicago, podczas wyborów na prezydenta miasta. W ciągu sześciu odsłon przesuwają się przed oczyma widza reprezentanci wszystkich sfer amerykańskich, od arystokracji, handlowców, dziennikarzy, aż do szumowin podziemnego świata bandytów i szantażystów. Właściwymi bohaterami będą Polacy, członkowie amerykańskiej Polonji, znanej dobrze autorowi z niedawnej podróży do Stanów Zjednoczonych. „Komedja amerykańska" jest siedemnastą z rzędu sztuką teatralną Adolfa Nowaczyńskiego, a piętnastą graną w Warszawie.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Po okresie skrajnej propagandy heurezy w szkole średniej — znowu zdobywa w niej prawa obywatelstwa podręcznik i nawet wykład. Wyrazem tego nowego kursu jest wspominany już przez nas na tem miejscu „Zarys dziejów literatury polskiej „p r o f. J u l j u s z a K l e i n e r a (Lwów, Ossolineum, 1932, str. 208). Książka wykonana *con amore*, zaopatrzona w liczne ilustracje, bardzo zajmująco dobrane, oraz w 4 tablice synchronistyczne, ułatwiające uczniowi orjentację w zjawiskach kultury i historji polskiej i ogólnoświatowej. Autor równomiernie traktuje rolę tła kulturalnego, jako też naczelnych w literaturze osobistości, zabarwiając całokształt wykładu silnym pierwiastkiem dydaktycznym („młodzież ma kochać rodzimość;... ma zyskać przeświadczenie, że w dawnej Polsce były wartości trwałe;... ma patrzeć otwartemi oczyma, bez zasłon sztucznych na zło,... ale tem bystrzejszym wzrokiem na to, co było i jest w narodzie mocne, zdrowe, piękne").

Na wielkie uznanie zasługują trafne i zwięzłe definicje takich zjawisk jak scholastyka, humanizm, barok (zwłaszcza!), oświecenie. (Niestety, przy reformacji, jej wpływ rozkładowy nie został ujawiony.) Podobnież umiejętnie zostały oznaczone granice epok (za Chlebowskim wyróżniony został r. 1618, jako data wyjścia z druku „Goffreda" P. Kochanowskiego i początek baroku).

Jednak, jakkolwiek książkę przeczyta z korzyścią dla celów dydaktycznych nawet nauczyciel, nie sądzę, by z niej należyty pożytek odniósł uczeń kl. VI, bowiem materjał zbyt został pogłębiony filozoficznie, a prócz tego tekst obfituje w nadmierną ilość nazwisk „nagich", co zbyt absorbuje uwagę ucznia, natomiast przy powtórzeniu całokształtu literatury w kl. VIII, oraz na wszelkiego rodzaju kursach, gdzie pobiera naukę młodzież dorosła, książka Kleinera może być wprost nieoceniona.

Błędem jej wydaje mi się zerwanie wykładu na r. 1795, który w literaturze nie jest wcale granicą. Sam autor snadź

to czuje, bo powołuje się tylko na „odmienność warunków życia zbiorowego.“ Czy to jest probierz dostateczny dla podziału literatury? (S. C.)

*

Zarówno ten, kto lubi literaturę podróżniczą, jak i ten, kogo interesują sprawy polskiego wychodźtwa, z zainteresowaniem weźmie do ręki ładnie wydaną (nakł. Ossolineum) książeczkę Zofji Nałęcz-Gostomskiej „Z kanadyjskich szlaków“. Choć Kanada podczas wojny światowej dostarczyła sporego kontyngentu ochotników do armji hallerowskiej, jednakże o kraju tym mało jakoś dotąd u nas pisano; publiczność polska zadowalała się w tym względzie literackiemi wrażeniami z utworów Londona i Curwooda. Ostatnio dopiero Józef Watra-Przewłocki w „Królu Arktyku“ (Poznań, nakł. I. Zamecznika), „Kussalu“ i „Johnie Big-Foot“ otarł się o tameczne okolice i sylwetkowo przedstawił egzotyczny ich krajobraz i ludzi (jeden z tych ludzi, Sanduski, ma być synem powstańca). Bądź co bądź jednak były to dzieła o charakterze przeważnie literackim, powieściowym, na których znać było tradycję londonowską. Książka Gostomskiej ma inny charakter. Pomimo zalet literackich, jest to książka informacyjna, niemal popularno-naukowa. Początkowy rozdział, to „kartka z dziejów“, a raczej karta spora — i barwna. Ciekawe są wiadomości o takiem mieście Quebec, które ma ludność prawie wyłącznie francuską, o dawnych, rojalistycznych tradycjach, ciągnących się bez przerwy od w. XVII. Równie barwnie — choć zgoła bezpretensjonalnie — opisuje autorka puszczę dziewiczą i jej mieszkańców: dawnych Indjan i nowych kolonistów; wspomina o trudach i przygodach traperów, o cywilizacyjnej i umoralniającej pracy misjonarzy katolickich. Zasługi duchowieństwa katolickiego podkreśla także i w rozdziale, przedstawiającym dolę i niedolę polskich emigrantów. Tej pracy zbożnej, pełnej bezinteresowności i poświęcenia, przeciwstawia intrygancką i geszefciarską robotę różnych sekciarzy, którzy (nawiasem wspomnieć się godzi) z tamtych stron poczęli teraz wędrować i do naszego kraju. Godne uwagi naszych publicystów są te ustępy książki, w których autorka mówi o warunkach, jakie spotykają imigranci, o możliwościach pracy i zarobku, o konieczności „podtrzymywania narodowego ducha“ w młodem pokoleniu polskich osadników. W całej książce, o charakterze tak poważnym i tendencji tak pożytecznej, nie brak epizodów świadczących, że autorka ma żywy zmysł humoru. Takie są epizody dotyczące alkoholizmu w Ameryce i t. d., a nadewszystko pełen ruchu obrazek „W polskim konsulacie“. Ale i tu autorka w formie napozór wesołej mówi o epizodach — poważnych. (J. B.)

ZMARLI

Ś. P. ARKADJUSZ ANTONI PUŁASKI

Zmarły w Warszawie ś. p. dr. Antoni Pułaski (to imię było zawsze w użyciu) zajmował wybitne stanowisko w świecie naukowym lekarskim. Od r. 1918 był naczelnym lekarzem największego w Warszawie szpitala Dzieciątka Jezus. Był wiceprezesem Tow. Lekarskiego, redagował „Gazetę Lekarską“, ogłosił zgórą sto prac naukowych w różnych językach, szczególnie cennych w zakresie badań nad chorobą Basedowa.

My jednak pragniemy upamiętnić w tej notatce żałobnej zasługi obywatela. S. p. Pułaski należał do plejady lekarzy polskich, którzy byli poza fachem swoim lekarzami społeczeństwa. Pracował razem z dr. Kaz. Chełchowskim, jako działacz oświatowy. Napisał — rzecz charakterystyczna dla jego epoki—12 książeczek popularnych dla ludu.

Należał do kółka redakcyjnego książeczek ludowych, na którego czele stał Mieczysław Brzeziński. Powstało to wydawnictwo za czasów „Głosu“, jako zaród działalności poźniejszej Macierzy Szkolnej. Należał do tego grona, oprócz Brzezińskiego, Bolesław Hirszfeld, dr. Kazimierz Chełchowski, dr. Antoni Pułaski, Aleks. Zawadzki, Kazimierz Król, Ignacy Matuszewski i inni. Praca tam traktowana była tak poważnie, jak na posiedzeniach w Akademji Umiejętności, z niezmiernem poczuciem odpowiedzialności. Do dnia dzisiejszego książeczki, wydawane w latach 1889 — 1900, coraz wznawiane, służą za podstawę bibljotek ludowych.

Ze ś. p. Pułaskim schodzi ze świata świadek i uczestnik tej pokornej, a tak płodnej w następstwa pracy narodowej ówczesnego pokolenia.

Cześć jego pamięci! W.

DO ŻYCIORYSU Ś. P. JÓZEFA KIEDRONIA

W uzupełnieniu nekrologu ś. p. Józefa Kiedronia dodajemy pominięty przez prasę fakt, że zmarły od r. 1920 nie zajmował wyższego stanowiska w Warszawie. Wprost bowiem ze szpitala, gdzie leczył się z ran zadanych przez Czechów, wyjechał z delegacją do Paryża, aby bronić Polskę od krzywdzącego rostrzygnięcia w sprawie Śląska Cieszyńskiego. Z Paryża przybył do Warszawy, aby tu w charakterze ochotnika wstąpić do armji, broniącej stolicy. Pozostawał w szeregach do chwili ustąpienia bolszewików, poczem wyjechał na Śląsk Górny, gdzie był czynny aż do rozstrzygnięcia plebiscytu. Tam też przebył w bardzo ciężkich nieraz warunkach czasy powstania. Zadaniem ś. p. Kiedronia było pilnowanie spraw gospodarczych, aby się nie załamało życie gospodarcze, coby fatalnie musiało wpłynąć na psychikę ludności. Potem nastąpiło organizowanie gospodarki w nowych warunkach, wytwarzanie polskich władz górniczych i wydziału przemysłowego przy województwie. On to powoływał ludzi na stanowisku, dotąd przez nich jeszcze zajmowane, sam zaś, zajęty temi sprawami, żadnego stanowiska w przemyśle nie obejmował.

W r. 1922 ś. p. Kiedroń przybył do Warszawy w celu zorganizowania departamentu śląskiego przy ministerjum przemysłu i handlu i został dyrektorem tego departamentu.

Że przejęcie przez Polskę tak skomplikowanego mechanizmu gospodarczego, jak górnośląski, dokonało się bez wstrząsów, że uratowany został Chorzów, że zawczasu wprowadzono markę polską przed katastrofalnym spadkiem marki niemieckiej, to wynik niesłychanie wytężonej pracy ś. p. Kiedronia, dzieło jego niepospolitego zmysłu organizacyjnego.

Człowiek skromny i tak bardzo zajęty sprawą nigdy nie dbał o rozgłos i nie umiał uwydatniać swych zasług. Byłoby jednak wielką krzywdą dla jego pamięci, gdyby społeczeństwo całości jego życia, pracowitego i mężnego aż do bohaterstwa, nie znało. W tym niezmiernej doniosłości dziejowej procesie przyłączenia ziemi śląskiej do Polski grały rolę takie cuda, jak patrjotyzm i rozum wielkich Ślązaków, bohaterów cywilizacji polskiej, synów Narodu polskiego.

Tacy są prawdziwymi budowniczymi Państwa Polskiego.

W.

WSPOMNIENIE O HANNIE KRZEMIENIECKIEJ

Przed dwoma laty, w d. 8 lutego 1930 r., zmarła w Warszawie śp. Janina z Bobińskich Żyrkiewiczowa, znana szerszemu ogółowi, jako pisarka, z pseudonimu: Hanny Krzemienieckiej. W d. 21 b. m. z inicjatywy przyjaciół i miłośników talentu zmarłej, odbędzie się w Warszawie uroczyste zebranie w celu uczczenia jej pamięci. Niech mi wolno będzie ze swej strony słów parę do tych wspomnień dorzucić.

Urodzona w Horodyszczu na Ukrainie w r. 1865, po wyjściu za mąż (za Walerego Żyrkiewicza) przebywała w Rosji aż do r. 1900, kiedy osiadła w Warszawie, aby oddać troje dzieci do szkół polskich. Dziś córka jej, p. Ewelina Pepłowska, jest znaną działaczką społeczną i posłanką na Sejm. Jeden z synów zajmuje wyższe stanowisko w wojsku.

Cała ta część życia ś. p. Żyrkiewiczowej w kraju aż do schyłku była jednem pasmem ożywionej działalności społecznej i umysłowej. Należała do rodu entuzjastek, rwących się do szerzenia zasad przez wychowanie i książki. Wrodzoną marzycielskość kształciła, rozczytując się w filozofji idealistycznej. Wyznawczyni metafizyki spiritualistycznej, widziała życie bezkreśnie rozszerzone poza doczesnością i takie ramy dawała swoim utworom beletrystycznym. Wszędzie wre walka zwycięskiego ducha z tem, co ziemskie i materjalne. Takim duchem owiane są głęboko pomyślane powieści Krzemienieckiej: „Fatum“, „Przed wyrokiem“, „A gdy odejdzie w przepaść wieczną“, „Lecą wichry“ (powieść nagrodzona na konkursie), oraz zbiór nowel „Pod cichą falą“.

O kierunku, jaki nadawała swej myśli filozoficznej, świadczy przekład przez nią dokonany rozprawy bramina Chaterji p. t. „Filozofja ezoteryczna Indyj“. W piśmie „Walka z bolszewizmem“ drukowała parę rozpraw, zachęcających do zwalczania tej międzynarodówki, zwłaszcza na terenie myśli religijnej.

W dziełach, które po sobie zostawiła Hanna Krzemieniecka, dotąd nigdzie niedrukowanych, widać nieustanną pracę myśli filozoficzno-religijnej. Światopogląd autorki, oparty

na głębokiej wierze w moc ducha, jest szczytnym idealizmem metafizycznym, zastosowanym jednak do życia, jako zasada wychowawcza. Pojęciu świata, jako uniwersalnej jedności, odpowiada uczucie powszechnej miłości; ono też daje życiu promienne perspektywy w radosnej nadziei. Duch kierujący się widokami na absolut, w ostateczności przezwyciężyć musi wszystkie ograniczające człowieka koncepcje materjalistyczne. Życie ludzkie jest tylko przelotną fazą samowiedzy wieczystej. Królestwo Boże — to panowanie ducha.

Oto główne motywy rozpraw filozoficznych Krzemienieckiej i jej dzieł beletrystycznych, które są niczem innem, jak ilustracją przykładową tych zasad ogólnych.

Taka była myśl przewodnia tej rozprawy p. t. „Walka z Duchem i Ducha Zwycięstwo", odznaczonej na konkursie „Wiedzy filozoficznej" w r. 1921, taki też charakter ma wielki dramat H. Krzemienieckiej pozostawiony w rękopisie p. t. „W pętach idei". Wstrząsający ten dramat, rozłożony na sześć aktów, jak widać z kolorytu scenarjusza, dzieje się gdzieś w stronach rodzinnych autorki, na Ukrainie. Węzłem dramatu jest dom zrujnowanego właściciela ziemskiego Luborzeckiego, przechowujący dobre tradycje cywilizacyjne, narodowe i rodzinne. Pani Luborzecka potrafiła dla nich zaprzeć się swego szczęścia osobistego, swojej miłości. Wychowali dwu synów: Henryka i Wacława, dwa przeciwieństwa życiowe. Henryk wyobraża ambitną myśl nitscscheańskiej „mocy". Ma w sobie coś z prometeisty, który podejmuje się tworzyć na ziemi światy szczęśliwe. Jest społecznikiem, wierzącym w siłę materjalną i w łamiącą wszystkie przeszkody wolę czynu. Wobec szczęścia zbiorowego bliźnich niczem jest szczęście jego własne. Fanatyzm tej wiary pozwala mu nie liczyć się z prawami nawet natury, z prawami nawet etycznemi. Cel uświęca środki.

Wacław natomiast orjentuje się w życiu według praw wszechstworzenia, dbając o zgodność z niemi duszy. Praktycznie znaczy to, że w życiu nie orjentuje się wcale. Zatraciwszy ludzką miarę rzeczy, błądzi jak lunatyk, wytwarzając koło siebie chłód stratosfery.

Dramat wynikł ze starcia się tych dwu krańcowych systemów. Henryk, wierny zasadzie łamania instynktów dla doktryny, odtrącił miłość przemiłej Anieli, istoty normalnej, umiejącej odczuć w Henryku jego żądzę wielkiego życia. Odtrącona wpadła w ręce lunatyka Wacława, którego podziwia, ale go nie znosi, bo to nie jest człowiek żywy. Henryk natomiast żeni się z córką przemysłowców Rostowskich, nowobogackich. Zwłaszcza Rostowska matka, typ parwenjuszki i jej córka Rita, chowana na sawantkę, są egzemplarzami zezwierzęcenia w źle pojętej cywilizacji materjalistycznej. Henryk, żeniąc się z Ritą dla karjery, znosi męki piekielne. I dopiero wielkie cierpienie pozwala mu zrozumieć błąd. Schwytawszy żonę na zdradzie pospolitej, usuwa ją z domu. Ale jak połączyć się z Anielą? Kochają się wzajemnie, Aniela wszakże małżeństwo uważa za nierozerwalne. Stargać je może tylko śmierć Wacława. Henryk, idąc za popędem namiętności i owej wiary w cel, który uświęca środki, truje brata.

Jest u szczytu potęgi, zdobywa ukochaną kobietę, ale duch, pogwałcony zbrodnią, nie da się uśpić szczęściem. Henryk przyznaje się do zbrodni i wreszcie ulega szaleństwu. Aniela jest szarytką w zakładzie dla obłąkanych. W akcie VI — i to jest finał — odbywa się wykład psychiatryczny, na Henryku demonstrowany. Jest przy tem rodzina. Dowiadują się ludzie z ust uczonego, czego uczy zresztą całe życie, że darmo się kusić o łamanie praw ducha.

Zagadnienie wiekuiste, w każdej epoce inną metodą ujmowane, ś. p. Krzemieniecka rozwiązywała górnie przy pomocy filozofji metafizycznej, mającej przed wojną swoich popularyzatorów. To zagadnienie krańców — ziemskiego i niebieskiego — wiodących z sobą spór djalektyczny, rozwiązuje praktycznie życie w procesie cywilizacyjnym. Cywilizacja narodowa jest wypadkową działania tych dwu sił. Obliczona na wiekuistość, buduje ona całość według praw ducha systemem ograniczeń praw jednostki. Dla celów trwałości życia wyrzeka się człowiek użycia. Godząc ile można prawo do szczęścia osobistego z dobrem gatunku, cywilizacja zdobywa trwałość i wielki styl, że wszystko, co przelotne i małe, ustępuje miejsca zasadzie idealistycznej. Strzeże tego religja, prawo, obyczaj, dobry smak ludzi kulturalnych.

W ramach tych sprzeczności duchowych obraca sie wiecznie myśl humanistyczna, szukająca rozwiązań i myśl poetów, wykreślająca z tej gmatwaniny wzory dramatów i komedji. W tej klatce obija skrzydła poeta liryczny.

Takie próby, jak ś. p. Krzemienieckiej, świadczą chlubnie o wysokiej kulturze mijającego pokolenia sfer oświeconych. Nietylko szukały, ale umiały znaleźć wyjście z koła niepokojących zagadnień.

Cześć ich pamięci! Z. W.

OFENSYWA

„ZŁOPIEWNIA"

PRZED swoim wyjazdem zagranicę (normalnym corocznym wyjazdem do Europy) poeta warszawski Giulio Tuwim rąbnął sobie jeszcze na pożegnanie poetę krakowskiego J. A. Gałuszkę. Zirytowało go to głównie, że nowozałożona, bardzo mocno i ciekawie redagowana „Gazeta Literacka" w Krakowie wyciągnęła przeciw niemu w formie zarzutu drukowanie w łódzkiem żargonowem piśmie jakichś wspomnień z czasów dzieciństwa *(Majn Kindhajt in Łódz)*. Według „Gazety Literackiej" nie można równocześnie być asem na Parnasie polskim i pisywać w żargonie. Otóż poeta Tuwim zaprzecza kategorycznie, jakoby pisywał w żargonie i temu zaprzeczeniu możemy oczywiście wierzyć. Niepotrzebnie przytem tylko manifestuje swoją pogardę dla żargonu, jeżeli się zważy, że w ostatnich dziesięciu latach kilkunastu utalentowanych żydowskich pisarzy i poetów podniosło ten żargon podobno do rangi „literackiego" języka.

Przy tej okazji atoli poeta warszawski, Tuwim, biadając nad „sparszywieniem obyczajów polemicznych", równocześnie bardzo brutalnie i trywialnie polemizuje z poetą Gałuszką, traktując go z piętra, wymyślając od „piśców", „popisałów", „łepetyn", wypominając mu „aryjskie uwłosienie" i wogóle traktując jako znajdę na Helikonie, grafomana, beztalencie i nieindywidualność a gatunek („O Gałuszkach"). Takim tonem poecie o poecie pisać się nie godzi. Takiego zaś dystansu między Tuwinem a Gałuszką także znowu niema. Talent Tuwima rozwinął się i rozkwitł w cieple, w dostatku, w koteryjnej adoracji przy jerychońskiej reklamie, no i w stolicy. Ma za sobą duże rezerwy, bo t r z y d z i e s t u s z e ś c i u recenzentów-krytyków żydowskich, którzy opanowali wszystkie posterunki i kontrolują całą „radosną twórczość" literatury. Ma za sobą patronat rządu dyktatury. A to wszysko są *impodorebilia* bardzo pomocne, bardzo w błyszczącej karjerze ważkie. Gdyby poeta Gałuszka osiadł był swego czasu w Warszawie, przypisał się do Sanacji, miał w rodzinie choć jednego żyda, ewentualnie ożenił się z panną Spokornianką, Izą Kahane lub Grażyną Zakroczymską, byliby tu w Warszawie *viribus unitis* zrobili z niego *nomen magnum* panowie Pomper i Breiter, a za nimi najrdzenniejsze Aryjczyki masońskie pisałyby o nim na wyścigi, jedni, żeby podnieść „swego", drudzy, żeby nie uchodzić za barbarzyńców i wstecznników. Po roku pobytu zacząłby pisać dla „Morskiego Oka" piosenki, dla „Ananasa" „przerabiać materjał" paryski i berliński i oddawna już byłby cieszył się popularnością, sławą, sympatją, no i takiemi profitami i procentami, jakiemi nawet w kryzysowej erze cieszą się poeci, dostawcy dla „Bandy".

Ale poeta Tuwim rozsierdził się z całkiem innej racji. Redaktorem krakowskiej „Gazety Literackiej" jest ten to sam poeta Gałuszka, który kiedyś lat temu dziewięć w „Myśli Narodowej" na wiersz Tuwima: „Do Generałów" replikował bardzo mocnym i agresywnym wierszem w obronie wojskowości polskiej? Tak, niestety polskiej *dear Guilio*! Wiersz Gałuszki, pełen świeżej, młodzieńczej indygnacji i pasji, rzucony na papier od ręki, zawierał kilka metafor mniej przyjemnych (pejsy, kahał), dających się atoli usprawiedliwić oburzeniem poety na podawanie w pogardę, ośmiaszenie generałów z armji świeżo odzyskanego państwa; warszawskiemu poecie Tuwimowi dało to pretekst do osobistej obrazy.

Wznawiając teraz całą aferę, zdawało się przebrzmiałą, poeta Tuwim zapewnia, że oczywiście nie miał wtenczas na myśli generałów p o l s k i c h.

Otóż to jest właśnie kłamstwem i to jest, z pozwoleniem szanownych panów, nieprawdą. Dlaczego? Postaramy się udowodnić. Wiersz był napisany w r. 1923-cim. Przed przewrotem majowym na lat trzy. Czoło generalicji polskiej stanowili wtedy generałowie katoliccy: Haller Józef, Haller Stanisław, Szeptycki, Sikorski, Januszajtis, Iwaszkiewicz, Dowbor-Muśnicki, Zieliński, Rozwadowski, Latinik, Skierski, Żymierski, Malczewski, Lamezan, Kawecki, Żaba, Przeździecki, Kukiel, Rodzewicz, Leśniewski..... Było to nadto dwa lata po... Jabłonnie... Dzisiejsi dostojnicy wówczas albo zmieniali własne nazwiska na polskie, albo żenili się z semitkami, albo byli kawiarnianymi kapitanami i porucznikami po małych garnizonach... Było to dwa lata po... Jabłonnie. G a o n mieszkał gdzieś za Kaczym Dołem, Bolek i Boguś byli w opozycji..

I wówczas to wchodzącym do literatury młodym semitom grzebień natchnienia czerwieniał i wzdymał się przy lada okazji.. Pławili się w Jesieninie i Majakowskim.

Słonimer pisał „Carmagnolę":

„...Tu do nas puka już do bram,
niech jeden z drugim pójdzie cham

Niech drzwi otworzy: Salve Lenin!
Nie minie przecie wiele dni,
jak wszędzie się otworzą drzwi
od gór Kaukazu do Apenin.
Oficerowie wszystkich szarż,
białogwardziści! krzyczcie marsz!
Do broni! Koniec przecie bliski:
Drżyjcie burżuje! Przyszedł czas
i twarde pięście jako głaz
spadną na białe wasze pyski".

Anatol Stern groził („Słońce w brzuchu"):

„Tęcze mostów żółte budować z piszczeli. Z waszych szkieletów o biedni ludzie! Ukręcić łby wam, byście już nie piszczeli i na czaszek waszych stanąć grudzie. Białe wsie, dżingis, palić w zębów błysku, przypiec pięty wam śniącym w bezruchu, gdy niebiosa dano mi na półmisku, nie dziw, że słońce żarzące mam w brzuchu".

Jozue Wittlin o sobie w „Hymnach" kwilił groźnie:

„Ja, Józef Wittlin, piewca z Bożej łaski,
Artifex tęgi, bez wszelkiej pochyby,
Nędzarz przed Bogiem, locz książe udzielny
W królestwie złudy, majaków i szału:
— Nie mam pieniędzy!
Dajcie mi jeść! — wołam król wyniosły,
Dajcie mi pić! — upraszam zuchwale...
— — — — — — — — — — —
A sypcie grosz swój, zdobyty mozolnie,
Zapracowany w pocie rąk i czoła,
A ja was wzamian obsypię pogardą,
Jaką ma nędzarz dla tych, co litośni!"

Zaś do żołnierza polskiego zwracał się z taką apostrofą:

„Szeregowiec Chamuła, czy jak ci tam!
Jak (!) będzie wojna, ty pójdziesz na front
Nie ja, to prawda — i umrzesz pocichutku,
Ale tymczasem, bracie, paszoł wont!
Bo czuć cię wódką!"

Jeszcze „rasowszym" w innych wierszach był Słonimer:

„O tłumie! dzisiaj daję ci
Kąpać się w wichrach mojej pieśni!
— — — — — — — — —
O będziesz hulać moją nienawiścią".

Otóż takie a nie inne bywało w one czasy „n a s t a w i e n i e" do Polski, do państwa, do społeczeństwa i do armji u tych młodych poetów semickiej prozapji, nastawienie poprostu zionące nienawiścią, rewolucyjno-komunistyczne („Czarną Wiosnę" skonfiskowano w r. 1919). Z tego *milieu* i z tych nastrojów wyszedł też wiersz Giulio Tuwima, zaczynający się od słów:

„Warczy, straszy, groźnie ściąga brwi
Byle jeneralisko obwieszone gwiazdami"

Takie zresztą antymilitarystyczne nastroje panowały wówczas w całej młodej europejskiej twórczości literackiej; wystarczy czytać powieść Pucciniego o ówczesnej italskiej nienawiści do wojskowości wogóle. To też z dzisiejszej perspektywy spokojnie patrząc, wiersz Giulio Tuwima dałby się nawet adwokacko wybronić ogólnym, przez Massohnów stwarzanym klimatem duchowym tych czasów.

Powoli jednak zaczęto tych wilczaków ułagadzać i obłaskawiać. Jeden dostał subsydjum na jazdę do Południowej Ameryki, drugi na pobyt w Italji, trzeci znów to, czwarty tamto. Przyszedł przewrót majowy, „*Umwerthung aller Werthe*", izra-elita szła masowo do dyplomacji, do sztabu, do ambasad, do prasy rządowej, do ministerstw, do N. I. K, do sądu, do adwokatury, do literatury. Wszędzie owacyjnie witani stali się z kopciuszków Benjaminkami. Radziwiłł jechał z pierwszą wizytą do rabina, a prezes Sławek do Szaloma Ascha. Polscy literaci stali się *quantité negligeable*, „liszeńcami", a *Qui pro Quo* „ścianą śmiechu" dyktatury. Co twardsi i zażartsi wyemigrowali wtedy na wschód („Wandurski", „Jasieński"), co delikatniejsi i elastyczniejsi stawali się trubadurami donny Elity.

I już zdawało się, że wilczaszki nie gryzą i że grzechotniki mają wyrwane woreczki z jadem, kiedy nagle ni stąd ni z owąd podrzucono „Robotnikowi" opozycyjnemu kukułcze jajo wiersza p. t. „Do prostego człowieka".

Jeżeli Słonimer lat temu wiele, bo jeszcze za Rozwadowskiego, Hallera, Szeptyckiego, Kukiela pisał do żołnierzy polskich szyderczo:

„Dzielnie mordujcie, prujcie bagnetem,
Kto lepiej bije, ten lepszy żołnierz,
Dostanie lampas złoty na kołnierz
I krzyż: najwyższej władzy dekretem"

to bądź co bądź było to w erze... katolickich generałów i w erze „pomajowej" można go było ekskuzować djalektycznie. Wobec tego atoli w e z w a n i a... Tuwima Giulio stało się poprostu bezradne. Wiersz był do przyjaciela nieuczonego, bliźniego „z t e j c z y i n n e j z i e m i". Zaczynał się od słów:

„Gdy znów do murów klajstrem świeżym
przylepiać zaczną obwieszczenia
gdy do „ludności" do „żołnierzy"
na alarm czarny druk uderzy
i byle drab i byle szczeniak
w odwieczne kłamstwo ich uwierzy
że trzeba iść i z armat walić..."

Kończył się zaś w te słowa:

„Rżnij karabinem w bruk ulicy,
Twoja jest krew, a ich jest nafta,
I od stolicy do stolicy
Zawołaj, broniąc swej krwawicy:
„Bujać to my, panowie szlachta".

Ten wiersz Heinego naszych czasów, trzeba to przyznać (zdobywając się na kryterjum czysto artystyczne), był od tamtego „Do Generałów" znacznie dynamiczniejszy, więcej emocjonujący, suggestywny i wrzący, niewypada wszakże zdolnemu Łodzianinowi, aby on znowu dziś wypierał się zdecydowanych ciągot i instynktów komunistyczno - antymilitarystycznych. Gdyby Giulo Tuwim miał pecha urodzić się katolikiem i napisał te dwa wiersze: „Do generałów" i „Do Prostego Człowieka", poszedłby do Łucka lub do innej twierdzy, jak Broniewski lub pewna ukraińska poetka... Gdyby to napisał Endek, rozmaite Burdy i działacze krakowskie wyłyby o tem w Sejmie przy każdej okazji.

Jemu przebaczono. Włos mu nie spadł z głowy, ani liść z wawrzynowej girlandy. *Immunitet. Tabu.*

Ale za to poeta, który ma na sumieniu takie dwa utwory, powinien jednak poczynać sobie nieco skromniej i na przygodne inwektywy reagować mniej buńczucznie, w ten sposób choćby odwdzięczając się za ten brak... reakcji ze strony polskich autochtonów.

Nieładne w tem bowiem jest to głównie, że kiedy go Rostworowski raz potężnie zgasił, Giulio przycupnął udając, że nie słyszy, a dopiero kiedy go ni hrabia *simplex servus Dei gratia* Gałuszka z boku łupnął, odrazu nań z damasceńską jako ten sephardyjski hidalgo się rzucił.

Tych kilka uwag raczy przyjąć tłumacz Puszkinowskiego „Miedzianego Jeźdźca", często gęsto poeta omal że autentyczny, starych foliałów i zamarłych słów lubownik gorący, niekiedy atoli ni stąd ni zowąd... Leizorek Rojtszwanc z miasta Łodzi, aroganckich „ło-buziaków" naśladujący, z czem mu absolutnie nie do twarzy.

Gałuszkę myśli, że stratował. Niechże sam na gałązce sobie zadynda choćby przez ten jeden tydzień. Zasłużył.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Ciągle się jeszcze dziwimy. Udało się wykryć, że ten p. „Saczyński", który przez radio warszawskie nadaje wykłady w obronie projektu nowego prawa małżeńskiego, jest urzędnikiem M. S. Z., p. Jaśkiewiczem. Ten sam Saczyński w „Wolnomyślicielu Polskim" jako „H. Wroński", deklaruje się otwarcie w charakterze „bezbożnika". Ponieważ z procesów sądowych wiadomo, czem są „wolnomyśliciele" tacy, jak Jan Hempel (Moszek Grynszpan) i in. tamże pisujący i jakie ich związki łączą z bezbożnikami moskiewskimi, więc trochę zdziwili się ludzie, czytając w „Kurjerze Wileńskim", obronę skandalu radjowego z Saczyńskim (Wrońskim-Jaśkiewiczem). Zdziwili się tem bardziej, że redaktorem „Kurjera Wil.", tak bardzo sanacyjnego, jest pan Okulicz, który niedawno jeszcze był dyrektorem departamentu wyznań w min. oświecenia.

•

P. Antoni Słonimski ogłosił w „Wiadomościach Literackich" (nr. 7) utwór liryczny p. t. „M a t k o E u r o p o!" Pocóż taki gruby fałsz, zaraz w tytule? Wiadomo przecież, iż p. Słonimski rodowód swój wyprowadza z Azji (Palestyny), nie zaś z Europy. Biedna rasa, mająca tak podświadome, instynktowe zamiłowania do krętactwa, że nawet w wierszyku lirycznym uważa za rzecz bezpieczniejszą podanie... fałszywych danych osobistych... Na wszelki wypadek...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.